

KRZYWIEC

wieś na skraju miasta



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

KRZYWIEC

wieś na skraju miasta

 **WYDAWNICTWO**
UNIwersytetu
ŁÓDZKIEGO

Łódź 2025

Krzywiec. Wieś na skraju miasta

Helena Chwiałkowska, Piotr Daranowski, Konrad Dzieścielewski, Alicja Grochulska, Agnieszka Jocz-Minich, Danuta Jurczyk, Lilla Kacprzak, Mariusz Konwaluk, Marcin Król, Sebastian Latocha, Dominika Łarionow, Mieczysław Okupski, Józef Powalski, Mariusz Pryc, Stefania Pstrokońska, Adam Pstrokoński, Jerzy Śnieć, Wioletta Tarnowska, Magdalena Wiśniewska, Małgorzata Wiśniewska, Jacek Wiśniewski

RECENZENCI

Magdalena Krysińska-Kałużna, Jan Święch

REDAKTOR INICJUJĄCA

Natasza Koźbiał-Grabowiecka

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

Joanna Misztal

PROJEKT OKŁADKI

Joanna Apanowicz

© Copyright by Authors, Łódź 2025

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2025

© Copyright for this edition by Gmina Aleksandrów Łódzki, Aleksandrów Łódzki 2025

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

<https://doi.org/10.18778/8331-849-3>

ISBN 978-83-8331-848-6

e-ISBN 978-83-8331-849-3



WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO



Burmistrz
Aleksandrowa Łódzkiego
Jacek Lipiński

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-237 Łódź, ul. Matejki 34A
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. 42 635 55 77

Gmina Aleksandrów Łódzki
95-070 Aleksandrów Łódzki, plac Kościuszki 2
e-mail: <https://aleksandrow-lodzki.pl/>
tel. 42 270 03 00

SPIIS TREŚCI

Podziękowania.....	9
Sebastian Latocha <i>Etnograf zawsze przychodzi za późno. Refleksje na marginesie badań terenowych w Krzywcu</i>	11
Dominika Łarionow <i>Krzywiec – legenda miejsca</i>	19
Helena Chwiałkowska, Adam Pstrokoński <i>Moja mama Joanna na wsi była uważana za Niemkę. Rozmowa</i>	37
Józef Powalski, Dominika Łarionow <i>Dynamika krajobrazu kulturowego powojennego Krzywca. Rozmowa</i>	43
Danuta Jurczyk, Dominika Łarionow <i>Założenie było takie, że osiedlimy się tu na krótko. Rozmowa</i>	53
Alicja Grochulska, Sebastian Latocha <i>I tak wrócimy do Wilna, to nie ma sensu, żebyśmy się tutaj zasiedzieli Rozmowa</i>	63
Lilla Kacprzak, Stefania Pstrokońska, Adam Pstrokoński, Sebastian Latocha <i>W Krzywcu spotkali się ludzie z różnych stron. Rozmowa</i>	69
Mieczysław Okupski, Adam Pstrokoński <i>Kiedys tu ludzie rodzili się i umierali, pracowali i żyli Rozmowa</i>	79

Piotr Daranowski

Krzywiec. Kontynuacja rodzinnych wyborów miejsca zamieszkania i emocjonalnych z nim związków. 81

Mariusz Pryc

Krzywiec – moje miejsce na ziemi 85

Jerzy Śnieć

Krzywiec – 50 lat wspomnień. 95

Wioletta Tarnowska

Historia rodziny 101

Konrad Dzieścielewski

Podróż w czasie do mojego Krzywca. 107

Mariusz Konwaluk, Marcin Król

Miejsce 125

Jacek Wiśniewski

Mamy tu swoje miejsce, dobre sąsiedztwo, miłą atmosferę oraz poczucie spełnienia 131

Małgorzata Wiśniewska

Jednak wszechświat całą swoją mocą kierował nas do tego miejsca 133

Magdalena Wiśniewska

Mogę dzielić się tym miejscem z resztą świata 135

Agnieszka Jocz-Minich

Spotkanie po latach 137

Dominika Łarionow

Historia Koła Gospodyń Wiejskich i Kółka Rolniczego w Krzywcu. Przemówienie wygłoszone z okazji jubileuszu 70-lecia KGW i 60-lecia KR w Krzywcu, wrzesień 2018 r. 139

Bibliografia 145

PODZIĘKOWANIA

Książka *Krzywiec. Wieś na skraju miasta* została napisana dla uczczenia jubileuszu 200-lecia wsi. Powstała dla mieszkańców i dzięki ich zaangażowaniu. Wydanie zostało zrealizowane ze środków Funduszu Sołeckiego przekazanych na ten cel przez społeczność wsi. Urząd Gminy Aleksandrów Łódzki poparł decyzję mieszkańców, a Burmistrz Aleksandrowa Łódzkiego Jacek Lipiński wsparł osobiście obchody jubileuszu. Dyrektor Archiwum Państwowego w Łodzi Bartosz Górecki pomógł w przeprowadzeniu koniecznych kwerend i badań.

Pozycja, która trafia do czytelników, jest efektem współpracy samorządu terytorialnego z wiejskimi organizacjami społecznymi (Kółko Rolnicze i Koło Gospodyń Wiejskich w Krzywcu) oraz z Uniwersytetem Łódzkim. Książka ukazała się dzięki zaangażowaniu lokalnej społeczności, środowiska akademickiego i redaktorki prowadzącej z Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego Nataszy Koźbiał-Grabowieckiej. Z ramienia organizacji wszystkich szczebli działających na terenie Krzywca zaangażowali się: Przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich Danuta Jurczyk, Sołtys Jacek Wiśniewski, Prezes Kółka Rolniczego Mariusz Pryc. Nad całością rozliczeń jubileuszu czuwał Skarbnik Kółka Rolniczego Jacek Kowalski, a dr Jerzy Śnieć dbał o historyczną atmosferę ciągu wydarzeń związanych z obchodami 200-lecia.

Jeden egzemplarz publikacji został umieszczony w kapsule czasu, którą zamurowano we wrześniu 2025 roku pod budynkiem dawnej szkoły, służącej obecnie jako Świetlica Wiejska. Wokół umieszczono kostki z nazwiskami mieszkańców, które składają się na Pomnik Krzywczan. Realizacja tego przedsięwzięcia nie mogłaby się odbyć bez osobistego zaangażowania Marioli Łukowicz z zakładu kamieniarskiego Kaprot, która przekazała materiały i pomogła w budowie tego szczególnego miejsca-pomnika. Należy zaznaczyć, że firma Kaprot jest spadkobiercą wcześniejszego zakładu prowadzonego przez Jana Tomaszewskiego. Osiadł on we wsi na początku lat 70. XX w. Od 1975 r. tworzył nagrobki oraz ważne monumenty historyczne

na terenie Łodzi i okolic. Rodzina Tomaszewskich oraz Łukowiczów zawsze wspierała mieszkańców Krzywca, a jej członkowie byli donatorami kapliczki poświęconej Matce Boskiej, która znajduje się przy ul. Konstantego Okołowicza na wysokości posesji pod numerem 58.

Ostateczny układ merytoryczny książki powstał dzięki niezwykle cennym uwagom recenzentów: dr hab. Magdaleny Krysińskiej-Kałużnej z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. dr. hab. Jana Święcha z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich spostrzeżenia okazały się bardzo ważne szczególnie na ostatnim etapie pracy nad publikacją. *Krzywiec. Wieś na skraju miasta* wiele także zawdzięcza koleżeńskim uwagom przyjaciół, którzy znaleźli czas na lekturę: Małgorzacie Bruder, Magdalenie Granosik, Aleksandrze Krupie-Ławrynowicz. Za udostępnienie prywatnych zdjęć i materiałów ikonograficznych dziękujemy rodzinom: Powalskich, Tarnowskich, Królów, Konwałuków, Grudniów i Śnieciów.

Dziękujemy wszystkim za zaangażowanie w powstanie opowieści o wsi Krzywiec znajdującej na obrzeżach Łodzi.

Autorzy

Sebastian Latocha

ETNOGRAF ZAWSZE PRZYCHODZI ZA PÓŹNO

REFLEKSJE NA MARGINESIE BADAŃ TERENOWYCH W KRZYWCU

Od wielu lat w kontekście etnograficznych badań terenowych towarzyszy mi przygnębiająca refleksja, że etnograf zawsze przychodzi za późno. Różne problemy badawcze rozwiązujemy poniewczasie, a każdy sezon badawczy utwierdza mnie w przekonaniu, że spóźnialstwo stanowi jedną z typowych cech etnograficznej profesji. A może jest tak, że spóźnialstwo jest warunkiem *sine qua non* etnografii? W trakcie badań zawsze okazuje się, że etnograf spóźnia się na spotkanie z terenowym gamechangerem antropologicznego poznania i rozwiązania danego problemu, kluczową postacią w terenie, wraz z którą znika świat, którego zrozumienie i wyjaśnienie jest naszym celem. Jednak zamiast płakać nad rozlanym mlekiem, można rozważyć kilka pozytywnych okoliczności, jakie rodzi niepunktualność etnografii.

Po pierwsze, spóźnialstwo wpisuje terenowe badania etnograficzne w projekt rekonstrukcji świata na podstawie fragmentów, resztek i śladów. Podobieństwo do archeologii – nieprzypadkowe. Historia, archeologia i etnografia to nauki o przeszłości, które bazują na jej rudymencie, reliktach i faktach. Efektem ubocznym antropologizacji historii jest m.in. uwzględnienie „tradycji, wierzeń, wyobrażeń, oczekiwań, zwyczajów” (Pomian, 2014, s. 25) w rekonstrukcji przeszłości. Etnografia poszerzyła zakres jej eksploracji o nowe problemy badawcze, w których człowiek i jego kultura znajdują się w centrum. Niepunktualność etnografii pozwala jej na koncentrację na tym, co jest TERAZ ważne dla żyjących ludzi, a zatem przesuwając akcent z czasu *Past Simple* („było, minęło”) na *Present Perfect*, który łączy przeszłość z teraźniejszością. Przykład: wielu współczesnych mieszkańców Krzywca swoją tożsamość indywidualną i zbiorową opiera na trudnym dziedzictwie i pamięci o Niemcach mieszkających w Krzywcu przed drugą wojną światową.



Droga w Krzywcu, lata 50. XX wieku

W tym sensie jest to czas terazniejszy dokonany – konsekwencje wydarzeń, które miały miejsce w przeszłości, odczuwane są obecnie, a bada się je poprzez etnograficzne studiowanie zwyczajów, wyobrażeń, tradycji...

Po drugie, ze spóźnialstwem etnograficznym jest związany pożytek natury heurystycznej. Niektóre problemy badawcze powstają w wyniku zmiany paradygmatu nauki, rozwoju metodologii, akumulacji wiedzy, inspiracji innymi dyscyplinami, cyrkulacji pojęć pomiędzy nimi. Niektóre problemy badawcze, aby się ucieleśnić, wymagają dystansu czasu, który klaruje perspektywy, jakich brakuje *in flagranti*, tutaj i teraz; niektóre problemy badawcze istnieją tylko potencjalnie i czekają na odkrycie. Na przykład dzięki takim pojęciom z przełomu wieków XX i XXI, jak dysonans dziedzictwa, ponemieckość, wielokulturowość, dziedzictwo bez dziedziców, klątwa wiecznego początku, postpamięć i czułość dzisiaj możemy w sposób pełny wyjaśnić specyfikę kulturową Krzywca, której korzenie dotyczą XIX-wiecznego osadnictwa i tragicznych wydarzeń drugiej wojny światowej.

Po trzecie, etnograf, który przychodzi za późno, dzięki zmianie kontekstu społecznego i politycznego – dzięki dystansowi czasu, który leczy rany – może studiować trudne dziedzictwo (Macdonald, 2009) i bezpośrednio rozmawiać z ludźmi o tym, co ich rodzice oraz dziadkowie i tak pominęliby milczeniem ze strachu lub w wyniku traumy. Ma tego świadomość mieszkanka Krzywca Danuta Jurczyk: „Szkoda, że człowiek jako młody nie dociekał... Nie pytałam nikogo... Zresztą wszyscy bali się przekazywać dzieciom”¹. Krzysztof Pomian pisze, że „przeszłość bliska, a więc i dzień wczorajszy, różni się od odległej tym, że trwa również w pamięci żyjących” (Pomian, 2014, s. 33). Stawia to etnografa, który bada przeszłość, wobec dysonansu dziedzictwa (Tunbridge, Ashworth, 1996), czyli sytuacji, w której różne grupy inaczej wartościują dane miejsce albo proces. „Nie wszystkie rachunki krzywd zostały wyrównane, nie wszystkie pretensje doczekały się zadośćuczynienia” (Pomian, 2014, s. 35), a przy tym wszyscy mają prawo do własnej historii. Przeszłość, która jest ucieleśniona w żyjących ludziach, rodzi konflikt pomiędzy tym, co i jak pamiętają różne jednostki i grupy. „Społeczność, grupa może rościć sobie prawo do dziedzictwa, nawet w sytuacji, gdy ktoś inny odmawia jej tego”

¹ Fragment rozmowy Dominiki Łarionow z Danutą Jurczyk.

(Banaszkiewicz, Owsianowska, 2015, s. 9). Przykład: wieś co innego znaczy dla osób, które przeprowadziły się do Krzywca w XXI w., rezygnując z oferty miasta; co innego znaczy dla pojawiających się i znikających ze wsi letników; co innego znaczy dla „repatriantów” z Wileńszczyzny, którzy w 1945 r. pojawili się w Krzywcu, zaczynając wszystko od zera; co innego znaczy Krzywiec dla Niemców, którzy po drugiej wojnie światowej zniknęli z lokalnego krajobrazu kulturowego (np. Adolf Omet, który „miał sentyment do Krzywca i do tej ziemi”²). Ich historie i innych nakładają się na siebie, wywołując dysonans dziedzictwa. Ponadto dystans czasowy, jaki dzieli nas od końca drugiej wojny światowej, umożliwia nowe podejście do starego problemu. Dzisiaj nie musimy interpretować wysiedlenia/wypędzenia niemieckich mieszkańców Krzywca w kategoriach kolektywnego wrzenia, kary, sprawiedliwości historycznej. Możemy zastosować perspektywę czułości, która „jest głębokim przejściem się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu. Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości” (Tokarczuk, 2020, s. 288). Czułość, z jaką część współczesnych mieszkańców Krzywca obchodzi się z ponemieckim dziedzictwem (np. Danuta Jurczyk, która zawozi do Hamburga krzywieckie jabłka z drzewa, które zasadził Adolf Omet³) być może bierze się ze świadomości bezlitosnej siły mechanizmu generalizacji i idealizacji historycznej w procesie mityzacji obcych. I być może rację ma ten, kto twierdzi, że żyjemy w epoce, w której należy wyprowadzić historię z granic państwowych i uwrażliwić się na ogólnoludzką wspólnotę cierpienia (Pomian, 2014, s. 24), cierpienie bowiem jest uniwersalne.

Po czwarte, spóźniałstwo zdradza impresjonistyczny temperament etnografii, która bada ulotne życie, zmienny charakter rzeczywistości, nobilitując subiektywność, wrażeniowość i zmysłowość poznania. Z jednej strony etnograf, który przychodzi za późno, potwierdza efemeryczność rzeczywistości, a ta legitymizuje jego profesję. Być może etnografia wywodzi się z refleksji o przemijaniu, z tęsknoty za tym, co było, ze strachu przed unicestwieniem? Adam Pstrokoński, mieszkaniec Krzywca, który w wyniku badań terenowych z badanego zamienił się w badacza, wchodząc w rolę etnografii, po

² Tamże.

³ Tamże.

rozmowach z Heleną Chwiałkowską i Mieczysławem Okupskim napisał do mnie na WhatsApp: „No powiem ci, że się wkręciłem w temat. To jedyna okazja, aby coś utrwalić z tych krzywieckich opowieści. Za chwilę ci ludzie już odejdą. Ja sam dowiedziałem się wiele od nich”. Jednakże, według Jeana Baudrillarda, „by żyła etnologia, musi umrzeć jej przedmiot, który umierając, mści się za to, że został odkryty, i poprzez swoją śmierć rzuca wyzwanie nauce pragnącej go pojąć” (Baudrillard, 2005, s. 13).

W końcu etnograf, który zawsze przychodzi za późno, występuje w roli magika, który „wyczarowuje” świat, uobecniając to, co jest nieobecne, unieruchamiając to, co jest w ruchu.

Na przestrzeni dziejów Krzywiec był i jest miejscem, gdzie krzyżują się drogi ludzi, nad którymi ciąży klątwa wiecznego początku. Ponieważ część jego współczesnych mieszkańców nadaje własne znaczenie, które koresponduje z koncepcją czułości Olgi Tokarczuk. Jak to jest być spóźnionymi gośćmi w cudzym świecie? „Goście mogą wziąć w opiekę cudzą historię lub o niej zapomnieć. Mogą rozgościć się pośród resztek lub zatrzeć ślady cudzej obecności” (Latocha, 2020, s. 207); mogą „oddychać powietrzem postpamięci” (Stiepanowa, 2020, s. 108). Mogą ze spuścizną po przedwojennych gospodarzach zrobić wszystko. Wielość tych możliwości jest źródłem dysonansu dziedzictwa. Spóźniony etnograf i spóźniony gość w cudzym świecie mają ze sobą wiele wspólnego. O tym, że jest to realne podobieństwo, świadczy zmienność ról badacz – badany podczas etnograficznych badań terenowych, jakie miały miejsce z okazji jubileuszu 200-lecia Krzywca. Były to badania z rysem etnografii wspólnotowej. Angażując społeczność Krzywca do badań na zasadzie partnerstwa, udało się zrealizować ideę nauki obywatelskiej, włączającej – mieszkańcy we współpracę z badaczami z Instytutu Historii Sztuki UŁ oraz Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ przygotowali niniejszą książkę. Drogę do współpracy świata akademickiego z lokalnym światem „na Krzywcu” uutorowało podpisanie 22 kwietnia 2025 r. umowy o współpracy pomiędzy Uniwersytetem Łódzkim, Sołectwem Krzywiec, Kołem Gospodyń Wiejskich w Krzywcu i Kółkiem Rolniczym w Krzywcu.



Szkoła w Krzywcu, lata 50. XX wieku

Książka składa się przede wszystkim z rozmów i wspomnień mieszkańców wsi o jej przeszłości i teraźniejszości (która już jutro przejdzie do historii). Historie rodzinne z etnografią w tle mieszczą się w obrębie zbiorowej pamięci lokalnej społeczności, która opiera się na wspólnej rzeczywistości, ale i wielości przeżyć, których sceną był i jest Krzywiec.

PS (z przymrużeniem oka)

Mieszkańca Krzywca od „obcego” można odróżnić po języku: ten pierwszy mówi „na Krzywcu”, ten drugi – „w Krzywcu”.

Dominika Łarionow

KRZYWIEC – LEGENDA MIEJSCA

Zaczęło się od pięciu macew wykopanych na podwórku dawnej wiejskiej szkoły w Krzywcu. Skromny ceglany gmach obecnie nazywany jest przez mieszkańców Domem Ludowym lub Wiejską Świątlicą. Wiele lat temu gmina Aleksandrów Łódzki oddała go w użytkowanie lokalnej społeczności, a w ostatniej dekadzie został odremontowany przez burmistrza Jacka Lipińskiego. W 2018 r. płyty nagrobne znaleźli robotnicy, którzy mieli na tej posesji położyć kostkę. Pod koniec XIX w. murowany budynek, architektonicznie niewiele różniący się od reszty zabudowań, postawiono na działce wydzielonej z pola niemieckiego rolnika. Tu nauczano dzieci pisanie i czytania aż do lat 60. XX w. Pod zaborem rosyjskim, czyli na początku ubiegłego stulecia, lektury dla klas 1–3 były pisane bukwami, w czasie drugiej wojny światowej wszyscy uczyli się w języku niemieckim, a po 1945 r. aż do zamknięcia szkoły królowała Ala z *Elementarza* Mariana Falskiego.

Mieszkańcy nie pielęgnowali pamięci o historii wsi. Wydaje się, że czekano na bazarza, który opowie, ubarwi, może coś wymyśli. Nikt wcześniej nie miał ochoty, ale może też nie było wyraźnej potrzeby, by powrócić do wydarzeń, wspomnień rodzinnych.

W trakcie zbierania materiałów do historii Krzywca znaleźliśmy wytłumaczenie dla obecności macew na tym terenie, ale także wysłuchaliśmy opowieści o spalonej szopie, będącej barakiem-obozem przejściowym dla Niemców wysiedlanych w 1945 r. Znaleźliśmy w archiwach kartotekę zastrzelonego w lesie żołnierza, akowca, na którym wykonano samozwańczy, koleżeński wyrok. Przedstawiona historia opowiada o wsi ponemieckiej, która nie znajduje się na Dolnym Śląsku, tylko w centralnej Polsce. Jedynym obecnie dostrzegalnym śladem dawnej wspólnoty mieszkańców jest cmentarz ewangelicki, który znajduje się pod lasem od strony Rąbienia, w pobliżu dawnego osiedla na Stawkach. Teren nekropolii kilka lat temu został w całości ogrodzony przez współczesnego właściciela gruntu. Między zaroślami prześwitują nadal zarysy nagrobków, których głowice

zdobią napisy wykonane gotykiem niemieckim. Udokumentowaliśmy także wspomnienia tych, którzy przyszli objąć po 1945 r. ponemieckie gospodarstwa. W Krzywcu nadal żyją ich potomkowie. Rodziny Dowgiałło, Jurczyk, Szwarcewicz zostawiły pod Wilnem swoją ziemię i ze strachu przed kolejnymi przesiedleniami, repatriacjami i ewentualnymi kolejnymi wojnami osiedliły się na tej wsi pod Łodzią. Dowiedzieliśmy się, dlaczego pośrodku głównej drogi stał niegdyś krzyż drewniany, potem metalowy, a obecnie znajduje się kapliczka poświęcona Matce Boskiej.



Adam Pstrokoński odczytujący inskrypcję na jednym z nagrobków znajdujących się na ponemieckim cmentarzu w Krzywcu, 2025.

Fot. S. Latocha

Obecnie w Krzywcu mieszkają tzw. tutejsi, czyli mieszkańcy legitymujący się historią osadnictwa od 1945 r., i działkowicze, czyli ci, co wyemigrowali z Łodzi, stawiając domy, głównie w pierwszych dwóch dekadach XXI w. Z jednej strony nadal została chłopska nieufność, zazdrość, obawa przed obcym, pogarda dla miastowych, czyli nowych, a z drugiej doświadczamy fascynacji mieszcuchów prząsnością wsi i jej łąkami, na których niedawno pasły się stada krów, a teraz są wyprowadzane na spacer rasowe koty w markowych puszkach.

Krzywiec jest oddalony tylko o cztery kilometry od Łodzi. O tym regionie niechętnie mówi się w mediach. Nie jest Małopolską ze swoją galicyjską dumą. Nie jest też Wielkopolską ze swoim powstaniem. I choć jesteśmy geograficznie w centrum Polski, jednak nie jest to Mazowsze. Dla zrozumienia pewnej specyfiki miejsca wystarczy pokusić się o literacką fantazję. Gdyby Bolesław Prus umieścił akcję *Lalki* w Łodzi, zapewne Izabela Łęcka uległaby dość łatwo przedsiębiorczemu Stanisławowi Wokulskiemu. Nie byłoby dramatu o podłożu pełnym arystokratycznych manier i kompleksów. Pisarz miał tego świadomość, bo granicą tego XIX-wiecznego, pozytywistycznego romansu były Skierniewice, czyli prowincjonalne miasteczko położone u bram ówczesnie niebywale nowoczesnej Łodzi. W świadomości społecznej utrwalił się obraz dymiących fabrycznych kominów poprzez sugestywną narrację powieści Władysława Reymonta *Ziemia obiecana*, która została dodatkowo ikonograficznie spotęgowana przez film Andrzeja Wajdy. Ten mimetyzm wielkiego ekranu uwodzi i łatwo zapominamy, że to XIX-wieczna stylistyka, która nijak się miała do ówczesnej realności. Miasto było budowane szybko, ale na wskroś nowocześnie, z dostępem do elektryczności, szerokimi ulicami, placami i parkami miejskimi. Kłopotem wydaje się odmienna mentalność kosmopolitycznych różnych wyznaniowo fabrykantów i robotników z włókienniczego miasta, która odbiegała znacznie od powszechnie znanej postszlacheckiej drobnomieszczańskości. Łódź była miastem rodzącego się biznesu o zasięgu globalnym. Był tu obecny agresywny XIX-wieczny kapitalizm, któremu jednak bliżej było do filozofii amerykańskich przedsiębiorców niż strategii drobnych wyrobników z innych części ówczesnie podzielonej przez zaborców Rzeczypospolitej. Cechą charakterystyczną Łodzi była jej wielokulturowość, na której budowano potęgę rodzącego się miasta. To sprzyjało biznesowi i dawało szansę awansu każdemu, bez względu na pochodzenie czy wykształcenie.

Od strony ekonomicznej władze carskie zachowały odrębność prawną na tym terenie, co miało wpływ na gospodarkę nie tylko wewnątrz miasta, ale też w całym regionie.

Krzywiec z pewnością był zapleczem aprowizacyjnym rozwijającej się Łodzi, ale także sąsiedował z dwoma prywatnymi miastami: Aleksandrowem i Konstantynowem. Oba powstały na zasadach prawnych XIX-wiecznej rosyjskiej administracji. Ich nazwy nie były bez znaczenia, świadomie zostały wywiedzione od imion: księcia Konstantego Romanowa, namiestnika Królestwa Polskiego, i cara Aleksandra I, będącego także królem Polski. Fakt ten zapewne wiele mówi o stosunku miejscowej szlachty i ziemiaństwa do władz zaboru. Polskość czy romantyczne pojęcie narodu były tu mniej ważne, liczyła się przede wszystkim sprawczość i gospodarność. Zatem ukonstytuowanie miasta oraz eksploracja nowych terenów pod grunty rolne były gwarantem rozwoju okolicznych przysiółków i współgrały z rozkwitem Łodzi.

Mikołaj Krzywiec-Okołowicz (1762–1841) był fundatorem Krzywca, jako szlachcic obyty w świecie rozumiał potrzebę modernizowania gospodarki. Swoją karierę rozpoczął na dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego, gdzie pełnił funkcję szambelana. Eugeniusz Workert, historyk zajmujący się przeszłością Konstantynowa, uważa, że po upadku Rzeczypospolitej Mikołaj porzucił karierę polityczną na rzecz pomnażania majątku. „W 1813 roku powierzono mu urząd sędziego apelacyjnego. Prawdopodobnie dokonał wówczas różnych nadużyć i dlatego rząd Księstwa Warszawskiego odsunął go od zajmowanego stanowiska. Później, dzięki protekcji Nikołaja Nowosilcowa, sprawował ten urząd do wybuchu powstania listopadowego. W czasach Królestwa Polskiego był posłem na sejm w roku 1818 i 1820” (Workert, 2006, s. 37). Przodkowie Mikołaja wywodzili się z Litwy. Pierwotnie nazwisko rodu brzmiało Okołów, z biegiem czasu zmieniło się na Okołowicz. W wyniku zawieranych mariaży ród został skoligacony z litewską rodziną Krzywców i dlatego nazwisko brzmiało Krzywiec-Okołowicz, herbu Ostoja. Mikołaj był posesorem wsi Szymanów w powiecie szadkowskim w województwie kaliskim. Pod koniec XVIII w. kupił dwie wsie Behcice i Rszew, a na początku XIX w. Żabice Wielkie za sumę 270 000 zł. Tadeusz Nowak i Hanka Żerek-Kleszcz w monografii regionu pisali o nim jako o ostatnim właścicielu klucza behcickiego za Nerem, w skład którego wchodziły miejscowości: „Żabice, Żabiczki, Niesięcin, Rszew, Rszewek. Do

M. Okołowicza należała też wieś Srebrna [...]. Poczynania oraz decyzje majątkowe i gospodarcze [właściciela] zmieniły stosunki osadnicze na tym obszarze. [...] W 1821 r. M. Okołowicz podjął decyzję o ulokowaniu na gruntach wsi Żabice osady przemysłowej, którą w tym roku nazywał Konstantynów. Osada fabryczna powstała w miejscu istniejącej od ponad pięciu stuleci wsi, wyznaczając kres jej istnienia. Chłopscy mieszkańcy Żabicy pozbawieni pełni praw do gruntu zostali z niej usunięci. Po 1821 roku byli włościanie żabickcy występowali w księgach metrykalnych jako mieszkańcy innych wsi należących do klucza rszewskiego – Rszewa, Rszewka, Niesięcina, Srebrnej i Żabiczek. Zaludnili także wraz z osadnikami przybyłymi z Wielkopolski kolejną osadę założoną przez M. Okołowicza ok. 1825 r. – Krzywiec” (Nowak, Żerek-Kleszcz, 2006, s. 26).

Ignacy Krzywiec-Okołowicz, syn Mikołaja i spadkobierca tych dóbr, zasłynął z niegospodarności, oddał młyny w dzierżawę, zaciągnął pożyczki. Z tak zdobytym majątkiem ruszył na podbój salonów Europy. Do rodzowego majątku powrócił w 1849 r. Był wtedy ciężko chory. Lekarze uznali, że cierpi na zaburzenia psychiczne. Resztę życia spędził w szpitalu w Warszawie. Po Ignacym sukcesję objął jego bratanek Gustaw, który w 1858 r. sprzedał Konstantynów Klementynie i Karolowi Glotz. Majątek zlicytowano w roku 1866. W ten sposób miasto i okoliczne wsie stały się własnością rządu Królestwa Polskiego.

W czasie burzliwego XIX w. Krzywiec rozwijał się progresywnie, choć Mikołaj Krzywiec-Okołowicz przeznaczył na osadę tereny podmokłe położone w dolinie rzeki Lubczyny. Jesienią 2024 r. z Maciejem Robertem, eseistą i poetą, prześledziliśmy stan koryta rzeki, która wypływa na wysokości łódzkiego osiedla Teofilów, by po przepłynięciu kilku łąk i ok. 10 km zasilic Ner. Niektóre dawne rozlewiska Lubczyny są widoczne do tej pory, szczególnie gdy popatrzymy na strukturę starej zabudowy. Domy stawiano zawsze na wyższym brzegu. Wiosenne powodzie rozlewały się szerokim strumieniem na łąki, tworząc efemeryczne jeziora. Wśród przybrzeżnej roślinności nadal znajdziemy pozostałości szuwar. Maciej stał się szczególnym rozmówcą, bo traktuje rzeki w sposób niecodzienny. Brodzi w nurtach, przedziera się przez zarośla, by dotrzeć do źródeł. Chce zrozumieć przyrodę, a w swoich esejach pokazać nam, jak bardzo ją zniszczyliśmy i jak jej wciąż nie szanujemy. Jego książka *Rzeki, których nie ma* (Robert, 2023) została zadedykowana Lubczynie – „niech płynie”. Nasz krzywiecki strumyk tym

gestem poety zyskał niebywałą podmiotowość. Przez lata w sposób bestialski był zanieczyszczany przez zakłady chemiczne znajdujące się w pobliskim Rąbieniu. U progu XXI w. był systematycznie czyszczony przez spółkę wodną powołaną przez Józefa Powalskiego, ówczesnego sołtysa Krzywca. Dbano o stan koryta i o okoliczne rowy melioracyjne. Obecnie rzeka wydaje się porzucona, płynie zdana na bobry, które czasami tworzą tamy, tak nieлюбiane przez okolicznych rolników. Maciej twierdzi, że nie ma ona właściwego źródła, to strumyk zasilany z wód gruntowych. Gdyby tak było naprawdę, to zapewne za kilka lat, wraz z rozrastaniem się zabudowy mieszkalnej Krzywca oraz Rąbienia AB Lubczyna zaniknie albo stanie się kanałem ściekowym, tak jak wiele dawnych łódzkich rzek.

Gdy Mikołaj Krzywiec-Okołowicz zakładał wieś, te grunty były w większości terenami bagiennymi. Zatem by dobrze zmeliorować ziemię, zaprosił do Krzywca najpierw tzw. Olendrów. Byli oni potomkami mieszkańców Niderlandów, którzy przybyli w XVI w. do Polski, by meliorować dolną Wisłę, Żuławy. Osiedlili się w okolicach Chełmna, Grudziądza i Torunia. W XVIII w., w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej, wsie Olendrów znalazły się w większości w granicach Prus. Władze nowej administracji były nieprzychylnie wspólnocie menonitów, nałożono na nich bardzo duże podatki. Olendrzy zaczęli emigrować do Królestwa Polskiego m.in. na tereny Mazowsza. W połowie XIX w. większość osadników wyjechała do USA i Kanady (Charuba i in., 2024, s. 58). Historycy regionu Konstantynowa odnotowali, że na tych terenach osiedlili się rolnicy z Wielkopolski, pochodzenia niemieckiego, wyznania w większości ewangelickiego. Faktycznie Niemcy w tamtych czasach słynęli z postępowych metod uprawy ziemi, co z pewnością było zgodne z intencją właściciela dóbr. Zapewne po przybyciu do Krzywca przejęli po Olendrach gospodarstwa, które rozbudowali, czyniąc je bardziej okazałymi. Siali, orali, zbierali zboże i dbali o meliorację zbudowaną przez niderlandzkich poprzednich gospodarzy. Ciekawostką może być fakt, że obecnie w gruncie nadal widać małe ceglane rurki, których usunięcie pod fundamenty nowych domów przez nieświadomych robotników budowlanych skutkuje podtopieniami całych działek. W ten często drastyczny sposób współcześni mieszkańcy szybko się orientują w bagiennej historii okolicznych łąk.

Fakt, że ewangeliccy osadnicy gospodarzyli w Krzywcu aż do 1945 r., nie przeszkadzał Polakom mieszkającym w Rszewku, Rąbieniu, Konstantynowie

czy Aleksandrowie. Niemcy spokojnie mieszkali obok, zbudowali szkołę dla swoich dzieci, sprzedawali jajka, ziemniaki i marchew na rynkach w Łodzi czy Konstantynowie, a może w Lutomiersku.

Niestety nie wiemy dokładnie, kim byli przedstawiciele rodzin: Furchertów, Szlnaszke, Sznajderów, Hameltów, Ometów, Jaszków, Turschów, Goldbergów, Pewisów, Linke, Klingów, Szulców. Znamy tylko nazwiska, bo zachowały się wykazy przekazanych w 1945 r. gospodarstw. Gdzie wtedy pojechali prawowici właściciele? Większość wyjechała do Niemiec, a dokładniej do rodzącej się Republiki Federalnej, nie do kraju demokracji socjalistycznej z terroryzującą policją Stasi. Być może byli też tacy, co pojechali do Austrii. Jak byli tam przyjęci? Nie wiemy. Niewątpliwie wygnanie skazywało na tułaczkę, ponieważ i status obcego, gdziekolwiek trafili po wyjeździe ze swojej wsi. Pewien obraz tamtych relacji może nam dać wspomnienie Martina Pollacka, mieszkającego jako dziecko w Linzu na terenie Górnej Austrii.

„W czasach, o których tu mowa, w późnych latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, niewiele pozostało z dawnego solidnego mieszczańskiego dobrobytu: domy były zrujnowane, ogrody opuszczone, ulice dziurawe, ludzie ubożsi. Do tego obrazu nędzy pasowało to, że niedaleko domu moich rodziców w uszkodzonej przez bomby dużej willi zakwaterowano folksdojczów, jak wtedy mówiono, nie wdając się w szczegóły ich pochodzenia. Później dowiedziałem się, że były to pochodzące ze Śląska albo z Łodzi niemieckie rodziny, które uciekły lub zostały wypędzone, my jednak bez zastanowienia i z niechęcią nazywaliśmy ich Polakami, ponieważ pochodzili z tej części świata. Polacy, nazwa, którą słyszałem wtedy pierwszy raz, nawet dziecięcym uszom wydawała się czymś zarówno biednym, jak i okropnym, jeszcze biedniejszym i straszniejszym niż nasz własny świat, który był wówczas dostatecznie żaloszny. Było to kilka rodzin, które tłoczyły się w zrujnowanym domu, przede wszystkim kobiety i dzieci, dorosłych mężczyzn w ogóle nie pamiętam, być może polegli albo dostali się do niewoli. Polacy, co dla dzieci z naszej ulicy było jasne, zasługiwali na pogardę i kpiny. Dlaczego tak myśleliśmy, nie potrafię dzisiaj powiedzieć, po prostu tak było. Czuliśmy się lepsi od nich, mimo że w tamtych latach my też cierpieliśmy niedostatek i nie mieliśmy porządných ubrań. Ale byliśmy u siebie, oni natomiast byli przybłędami, niechcianymi obcymi, mówiącymi w obcym dialekcie, który wydawał nam się zabawny. Polskim. Był to dla nas wystarczający powód, żeby ich wyśmiać i odsunąć od siebie” (Pollack, 2023, s. 208–209).

Tęsknota za krainą dzieciństwa, młodości, powodowała, że Niemcy z Krzywca później przyjeżdżali na wieś, by zobaczyć swoje dawne gospodarstwa. Dostawali jabłka od nowych mieszkańców, czasem prosili o chwilę w samotności, by coś przekopać, czasem udało im się wyciągnąć rodzinny skarb, który przeleżał kilka lat ukryty pod krzakami lub drzewami w sadzie. Niektórzy, widząc życzliwość Polaków, zaprzyjaźniali się i w ciężkich latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych ubiegłego wieku przesyłali paczki ze słodyczami, proszkiem do prania i jakimiś ubraniami. W Krzywcu wszystko się przydawało, szczególnie w trakcie kolejnych kryzysów gospodarczych państwa komunistycznego. Jeszcze długo miejscowi rolnicy wyorywali z pól beczki pełne kołder, jakiś szmat, czasem trafiły się puchowe poduszki, koce. To były skarby w czasie wojny, których wartość stała się względna w okresie pokoju. Niewątpliwie dla tych Niemców wieś pod Łodzią była małą ojczyzną, gdzie gospodarzyli spokojnie przez sto lat.

Pierwsze wyraźne narodowościowe niesnaski na wsi zaczęły się wraz z ustanowieniem nowego kraju w 1918 r. Wtedy ludność niemiecka poczuła, że nie przynależy do kultury języka polskiego. Ta nagła obcość była o tyle dziwna, że przejawiała się w inny sposób niż wcześniej wobec administracyjnie narzuconego języka rosyjskiego. Stało się tak, ponieważ rosyjski zaborca był tak samo obcy dla Polaka, jak i dla Niemca, czyli wobec władz lokalnych wszyscy czuli się równi. Jeden i drugi był po prostu chłopem lub drobnym rzemieślnikiem. Pojawienie się państwowości polskiej po zakończeniu pierwszej wojny światowej drastycznie zmieniło sytuację. Teraz Polacy byli u siebie, a Niemcy – jak się nagle okazało – już nie do końca. Zapewne dlatego gospodynie z Krzywca założyły związek germanizacyjny, by w ten sposób zaznaczyć, że one też chcą być u siebie. Niemki i Polki mieszkające na wsi pokazały swoją hardość i siłę, interweniowała policja. Ślad tych zatargów pozostał w archiwach.

Wydaje się, że dopiero w trakcie drugiej wojny światowej wiejska szkoła w Krzywcu służyła krzewieniu ideologicznego ducha germańskiego wśród miejscowych chłopów. Macewy przywiezione po likwidacji przez nazistów cmentarza żydowskiego w Lutomiersku zostały w latach czterdziestych położone przed budynkiem w celu utwardzenia terenu ku wygodzie nauczyciela i biegających dzieci. Naturalna erozja gruntu spowodowała, że zostały schowane pod warstwą ziemi i przez wiele lat pozostały niewidoczne dla następnych pokoleń bawiących się wokół szkoły.



Macewy znalezione w Krzywcu, 2018. Fot. D. Łarionow



Danuta Jurczyk przy znalezionych macewach, 2018.
Fot. D. Łarionow

We wrześniu 2018 r. nie wiedzieliśmy, co zrobić z macewami, które precyzyjnie ułożyliśmy na trawie wzdłuż granic posesji. Był to okres w kalendarzu religii judaistycznej pomiędzy świętami Rosz ha-Szana i Jom Kipur. Można było poddać się mistycyzmowi żydowskiemu, który w tym czasie mówi o narodzeniu, sądzie Bożym i o pokucie. Kamienne tablice nagrobne były pięknie zdobione, jedna z nich była częścią nagrobka syna rabina z Białej, który został pochowany w wieku 28 lat w końcu XIX w.

W Krzywcu Żydów nie było, to zawsze była wieś niemiecka. Wykopane macewy były jedną z niewielu pamiątek po nieistniejącej już wspólnocie z Lutomierska i jej nekropolii. Wiemy, że tamten tak brutalnie przeorany przez nazistów cmentarz był dość typowy dla kultury chasydzkiej. Otoczono go tradycyjnie rowem, dlatego dawniej język polski na nekropolie judaistycznej miał osobne określenie. To były „okopiska”.

Strzępy pamięci o Żydach z Lutomierska pozostały nie tylko w Krzywcu. Zachował się ślad po tej wspólnocie w miejscu odległym i wydawałoby się nieoczywistym, bo w Muzeum Judaizmu (Musée d'art et d'histoire du Judaïsme) w Paryżu, gdzie znajduje się makietę drewnianej barokowej synagogi. Zbudowano ją w latach 1763–1765 według projektu architekta Benjamina Hillela. Świątynia spłonęła w czasie pierwszej wojny światowej, być może w trakcie niemiecko-rosyjskiej bitwy pod Łodzią. Groby poległych w tamtych starciach znajdują się w lesie okalającym Krzywiec. W ten sposób pozostał ślad w pamięci po Żydach z Lutomierska, rozmieszczony może nieco chaotycznie między wiejską szkołą w Polsce a tłokiem paryskiej dzielnicy Le Marais. Członkowie tej wspólnoty judaistycznej najpierw zostali umieszczeni przez nazistów w getcie w Lutomiersku, a później wszyscy zginęli w Chełmnie nad Nerem, gdzie przeprowadzano pierwsze egzekucje przy użyciu gazu. Pobliski Konstantynów Łódzki w propagandzie nazistowskiej nosił nazwę pierwszego miasta wolnego od Żydów. Powstał na ten temat film, bo władze Kraju Warty były dumne ze swojego sukcesu. Ideologiczną i zgoła perwersyjną dewastację Konstantynowa widać także w strukturze miasta. Tamtejszy cmentarz żydowski nie tylko został zniszczony, ale go przekopano, by zrobić w tym miejscu stawy. Istnieją one do dziś, a wokół nich znajduje się plaża i ośrodek rekreacyjny o nazwie Relax. Oprócz małego obelisku ani w Lutomiersku, ani w Konstantynowie nie kultywuje się pamięci o żydowskich mieszkańcach. Przyczyniła się do tego dość duża wymiana narodowościowa widoczna po 1945 r. Najpierw zabito

Żydów, a potem wygnano Niemców. Domy jednych zajęli drudzy, a potem do pustych budynków weszli kolejni mieszkańcy, którzy albo nic nie wiedzieli, albo nie chcieli się dowiedzieć. Eksterminacja i wygnanie nieodłącznie wiązało się z kwestiami majątkowymi, awansem społecznym, nabyciem dóbr. Ten mechanizm dokładnie opisał Andrzej Leder w *Prześnionej rewolucji*. Krzywiec, Konstantynów Łódzki, Lutomiersk, Aleksandrów Łódzki i inne okoliczne miejscowości są dobrymi przykładami potwierdzającymi tezy badacza.

W 2018 r. w urzędzie macewy w Krzywcu wywołały przerażenie. Udzielono nam jednoznacznej rady, by wszystko ponownie zakopać. Ślady zniszczenia nekropolii innej religii miały zniknąć, choć cała tragedia, która towarzyszyła procesowi wandalizacji przestrzeni, nie była dziełem nikogo, kto teraz tu żyje. Nieprzepracowana pamięć o tragicznych wydarzeniach wojennych staje się wręcz mitem założycielskim pokoleń kształtujących świat XXI w. A my jako społeczność wsi staliśmy się bezwiednie strażnikami i zakładnikami nieodrobionej lekcji historii.

Macewy w Krzywcu nie zostały ponownie zakopane. Z pomocą przyszedł Dawid Szychowski, rabin Łodzi, który po prostu wysłał do nas przewodniczącego gminy żydowskiej. Płyty nagrobne znajdują się teraz na cmentarzu przy ul. Brackiej w Łodzi. Może wydawać się dziwne, ale mieszkańcy wsi w czasie dwóch tygodni, które upłynęły od wykopania piaskowych płyt do ich transportu do Łodzi, traktowali znalezisko jak szczególny skarb. Stało się tak, ponieważ w tych kamiennych nagrobkach był namacalny ślad przeszłości. Stanowiły dowód, że historia tych ziem wydarzyła się naprawdę. Wszyscy przez kilka dni zabezpieczali cenne znalezisko, chodząc codziennie i sprawdzając, czy nikt niczego nie zabrał, bo teren wokół szkoły był nieogrodzony. W nocy nie tylko mogli pojawić się złodzieje, ale zwyczajnie mogły przyjść dziki, sarny.

Wykopanie macew stało się punktem zwrotnym. Zaczęliśmy zadawać pytania o przeszłość. Najprościej było skierować się do najstarszych mieszkańców, którzy może coś jeszcze pamiętają. Czas końca lat czterdziestych był dla wsi burzliwym okresem przejścia, naznaczonym przez wypędzenia. Czy Niemcy zostali zmuszeni do wyjazdu? A może sami wyjechali? Na te pytania – choć stawiamy je cały czas – uzyskujemy różne odpowiedzi. Ci, co cokolwiek pamiętają ze swojego dzieciństwa, czyli pierwszych lat po wojnie, mówią głównie o świecie widzianym oczami przedszkolaków lub

uczniów pierwszych klas wiejskiej szkoły. Wiemy jedynie, że na początku, gdy zjeżdżali chłopci z okolic, by przejąć gospodarstwa po Niemcach, ci jeszcze tu byli. Przekazywanie odbywało się bez drastycznych scen. Rodzina polska, która przejęła duże gospodarstwo po Turschach, była niezwykle szczęśliwa. Ocaleli wszyscy, pomimo zsyłki na roboty do Niemiec i dramatycznych perypetii obozów. Dumny ojciec przy drodze prowadzącej do jego nowej zagrody, postawił drewniany krzyż na pamiątkę dobrego zakończenia wojennej tułaczki. Miał teraz dom dwuizbowy z sienią, oborę i 10 ha ziemi. W kuchni została zastawa ze swastyką, kredens i duży drewniany stół. Do czwórki dzieci i do gospodarstwa najęto tych samych parobków, którzy wcześniej służyli u Turschów. Ci Niemcy, którzy nie wyjechali, zostali zapędzeni do szopy, która stała się małym obozem przejściowym. Stamtąd wychodzili do pracy w gospodarstwach. Ich praca była nieopłacana, dostawali tylko jedzenie od właściciela, do którego zostali przydzieleni. Jak wyglądał nadzór obozu? Tego nie wiemy. Drastyczne historie z regionu Łodzi dotyczą owianego złą sławą obozu na Sikawie, który był zarządzany przez byłych więźniów nazistowskich obozów koncentracyjnych. Ludność niemiecka, którą tam spędzono, nie miała dużych szans na przeżycie. Jan Kott, późniejszy światowej sławy znawca dzieł Williama Szekspira, mieszkający tuż po wojnie w Łodzi, w trzypokojowym mieszkaniu, z dumą pisał, że doprowadzał wewnątrz do stanu dość brudnego i wzywał do sprzątania Niemki z Sikawy. To była jego zemsta.

W Krzywcu chyba nie było sytuacji trudnych, z wyjątkiem jednego nadal niewyjaśnionego zdarzenia. Szopa będąca lokalnym obozem przejściowym spłonęła lub została podpalona. Nikt nie pamięta, czy byli w środku ludzie, czy ich nie było, czy ktoś tam zginął, czy przeżyli wszyscy mieszkający tam Niemcy. Jeden fakt się powtarza we wszystkich zgromadzonych opowieściach z tamtych lat. Po spaleniu tego lichego budynku we wsi już nie było Niemców. W miejscu, na którym stał, w gruncie jeszcze widać fragmenty jednoceglowej podmurówki. Trzeba mieć nadzieję, że to ani nie było podpalenie, ani jakiegokolwiek inne celowe działanie. Może po prostu Niemcy dogrzewali się jakąś kozą i ogień zwyczajnie został zaproszony przez przypadek.

Niemcy i żydowskie macewy to nie wszystkie problemy, z którymi się spotykamy, penetrując historię podlódzkiej wsi. Do Krzywca w ramach akcji przesiedleńczej z okolic Wilna przyjechały rodziny polskie. Im też

przydzielono gospodarstwa poniemieckie. Ludność, która przez pierwsze trzy lata po wojnie zdążyła się zadomowić na wsi, nie przyjęła chętnie nowych. Oni byli ludźmi podejrzanymi, bo ze wschodu. W asymilacji przeszkodził też fakt, że repatrianci nie byli chłopami, tylko drobnymi ziemianami, a nawet właścicielami małych przedsiębiorstw na terenie Wileńszczyzny. W większości byli wykształceni, mieli przedwojenne matury, a także pewne obycie towarzyskie. Ten rozdźwięk zbudował mur między mieszkańcami wsi. Jedni byli nieufni, a drudzy niepewni swojej sytuacji.

Obawy rdzennych mieszkańców wobec napływowych szybko okazały się w pełni uzasadnione. W początkowych miesiącach 1948 r. dziki rozgrzebały w lesie mogiłę. Wykopane zostały zwłoki mężczyzny w średnim wieku. Sprawcą zabójstwa okazał się młody chłopak, członek jednej z rodzin repatrianckich. Pojechał do Łodzi, gdzie mieścił się Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR). Tam spotkał kolegę z AK. Przyjechał z nim do ojca i braci mieszkających w Krzywcu. Akowiec-repatriant w czasie wojny wydał rodzinę nowych mieszkańców Krzywca radzieckim żołnierzom. Z zasadzki zdołali uciec tylko mężczyźni, a kobiety – żona i córka – zginęły tragicznie. W Krzywcu młody wilnianin pomścił matkę i siostrę, strzelając do oprawcy. Samozwańczy sędzia otrzymał wyrok i spędził w więzieniu cały okres socrealizmu.

Rodziny ze wschodu miały jeszcze jeden problem. Władza komunistyczna w zamian za pozostawione na terenie Związku Radzieckiego ziemie dawała im nieodpłatnie grunty. Tutejsi Polacy, którzy przejmowali niemieckie gospodarstwa, byli w nieco innej sytuacji. Oni musieli kupić ziemię od państwa. Był to proces rozłożony na ponad 20 lat. Taka sytuacja rodziła napięcia na wsi. Zostały one nieco rozładowane, gdy wieś musiała stworzyć Radę Gromadzką, a później Spółdzielnię Rolniczą. Powstały organizacje społeczne: najpierw ukonstytuowało się Koło Gospodyń Wiejskich, a po nim Kółko Rolnicze. Wtedy bezcenna okazała się umiejętność formułowania protokołów i sprawozdań z zebrań. Wilnianie wszystko potrafili, a także starannie pisali, to dało im pewną pozycję w Krzywcu. Rozdźwięki pozostały. Polki śmiały się z wilnianek, które umalowane chodziły pracować w polu. Było to dla nich egzotyczne i zupełnie niezrozumiałe. Repatriantki ciężko walczyły o edukację dla swoich dzieci, by te miały inny los. Miejskowe kobiety szybko zrozumiały, że teraz ich dzieci mogą się uczyć i coś innego osiągnąć w życiu. Wiele osób zaczynających szkołę w Krzywcu w drugiej połowie lat czter-

dziestych, skończyło studia, zostając lekarzami, inżynierami, nauczycielami, urzędnikami. Ale też chłopci tak dbający o edukację swoich dzieci stali się pierwszymi ofiarami opresyjności państwa komunistycznego. Duże gospodarstwa rolne przymusowo rozparcelowano na początku lat pięćdziesiątych, by stworzyć spółdzielnie rolnicze. Dzieci rolników zmuszonych do oddania gruntów traciły przywileje edukacyjne związane z dodatkowymi punktami za chłopskie pochodzenie, a zyskiwały pejoratywną etykietę kułaków. W ten sposób system polityczno-propagandowy tworzył nowe określenia umacniające podziały społeczne.

W 1945 r. wieś liczyła ponad 30 domów, w 2025 r. było ich 340. Pozornie nikt z mieszkańców nie zajmował się historią wsi. Wyjątkiem był Jerzy Śniec, który mieszka pod lasem przy ul. Pod Gruszą. Jest historykiem, pasjonatem swojego zawodu i należy do najstarszych osadników, którzy przenieśli się z miasta na wieś. Jego ulicę zamyka małe gospodarstwo, na którym mieszkają potomkowie rodziny Dowgiałłów. Jerzy, wertując tomy książek historycznych, natrafił na informację, że w 1410 r. wśród rycerzy idących z Władysławem Jagiełłą pod Grunwald, by stoczyć zwycięską bitwę, byli też rycerze z okolic Lutomierska. Być może zamieszkiwali majątki znajdujące się w okolicznych lasach. Na pamiątkę tych wydarzeń Jerzy w lipcu zamyka swoją ulicę i zaprasza wszystkich mieszkańców do „bitwy pod Grunwaldem”. Sam się przebiera, wbija w ziemię przysłowiowe dwa nagie miecze, goście dostają swoje role. Świętowanie rozpoczyna czytanie fragmentów z kroniki Jana Długosza, odsłuchanie *Bogurodzicy* śpiewanej pod ścieżkę dźwiękową filmu *Krzyżacy* Aleksandra Forda. A potem pije się miody i inne trunki, zaczyna się staropolska wieczerza. W przedniej części stołu przez wiele lat stał fotel specjalny dla najstarszego członka wileńskiego rodu. Był to substytut ducha Jagiełły.

Nazwy ulic Krzywca są bardzo przyjazne. Mamy: Pogodną, Miłą, Życziwą, Urokliwą, Jasną, Wspólną, Kwitnącej Jabłoni, Ku Słońcu. Wśród nich jest także Wygodna, która wslawiła się w ostatnich latach sporem o jej szerokość i dostępność pomiędzy mieszkańcami dwóch osiedli. Emblematem batalii o iście husarskiej formie agresji stała się ulica obecnie niejako dwóch prędkości. Została przegrodzona wzdłuż, a do jej części ograniczono dostęp, montując szlaban. Mieszkańcy osiedla pod lasem od strony Żabiczek muszą się przeciskać wąską częścią ulicy. Wygodna pozostaje trudna do pokonania dla straży pożarnej, pogotowia ratunkowego oraz wszelkich

innych większych aut. Walka o dostępność drogi podzieliła mieszkańców Krzywca i stała się modelową formą współczesnych wiejskich kłótni. Bo nikt teraz nie toczy bitew o krowy, kury, także nikt nie jednoczy się w walce z lisami, bobrami, dzikami. Teraz wszyscy mierzą się na wpływy oraz znajomości w celu postawienia na swoim. Szlaban z napisem: *Teren prywatny. Monitorowany* stał się ikonograficznym podsumowaniem tych niesnasek, tak dobrze w Polsce znanych chociażby z komedii *Zemsta* Aleksandra Fredry. Miejmy nadzieję, że absurdalny konflikt o przejezdną drogę też rozwiąże się w romantyczny sposób i w wielkim finale środkiem ulicy Wygodnej przejdzie kondukt ślubny pięknej Klary z przystojnym Wacławem.



Krzywiec, ul. Wygodna, 2025. Fot. D. Łarionow

Wieś przecina droga asfaltowa, która od ponad dwudziestu lat nazywa się Konstantego Okołowicza. I nie byłoby w tym nic dziwnego, wszak Krzywiec wydzielono z dóbr Krzywca-Okołowicza. Tyle że w odnalezionej historii byłych właścicieli tych ziem nie ma żadnego Konstantego. Postać o tym imieniu nie istniała. Wymyślony bohater wieńczy tą zagmatwaną historię wsi poniemieckiej w centralnej Polsce, która była prywatna i stała się państwową. Jej mieszkańcy żyli w zaborze rosyjskim, wytrwali w trakcie pierwszej wojny światowej, usiłowali znaleźć dla siebie miejsce w dwudziestoleciu międzywojennym. Przetrwali drugą wojnę światową, a zostali stąd wypędzeni po jej zakończeniu. Nowi zamieszkali w domach poniemieckich wytrzymali socrealizm oraz wszystkie perypetie państwa komunistycznego, by po 1989 r. zacząć od nowa budować swoją tożsamość wsi na obrzeżach miasta. A wymaginowany Konstanty Okołowicz czeka na swojego bazarza, który za kolejnych parę lat napisze nową legendę Krzywca.



Krzywiec, lata 50. XX wieku

Helena Chwiałkowska, Adam Pstrokoński

MOJA MAMA JOANNA NA WSI BYŁA UWAŻANA ZA NIEMKĘ

ROZMOWA

Reprezentujesz jedyną rodzinę będącą pomostem między przedwojennymi i powojennymi mieszkańcami Krzywca. Twoja rodzina mieszka w Krzywcu od samego początku istnienia wsi?

Trudno to stwierdzić i choć już od kilku pokoleń mamy polskie nazwisko, to nasza rodzina ma przedwojenne, niemieckie korzenie. Odnoga mojej rodziny zawsze była po kądzieli, więc co pokolenie mieliśmy inne nazwisko. Ja mam nazwisko Chwiałkowska, po pierwszym zmarłym mężu Michalak, mama po mężu Różycka, babcia po mężu Modro, prababcia po mężu Pieńkowska. Jakie nazwisko było jeszcze wcześniej? Nie wiadomo. Moja mama Joanna na wsi była uważana za Niemkę, poza tym do pewnego wieku była wyznania ewangelickiego, a wielu z rodziny miało typowo niemieckie imiona, babcia Elza, dziadek Edmund, jego brat Leopold, brat pradziadka Johan, którego grób jest do dziś na ewangelickim cmentarzu w Krzywcu. Moja mama przez wiele lat opiekowała się dziećmi na wsi, dzięki czemu ich rodzice mogli iść w pole.

Czy znasz jakieś przedwojenne historie rodzinne?

Urodziłam się kilka lat po wojnie, więc wszystkie informacje znam od mojej mamy Joanny Różyckiej. Moi dziadkowie po ślubie w 1930 r. otrzymali od swoich rodziców środki, za które kupili budynek w Aleksandrowie Łódzkim u zbiegu ul. Łęczyckiej i 1 Maja. Urządzono tam sklep rzeźniczy, bo mój dziadek był z zawodu rzeźnikiem. Budynek stoi tam do dziś, jest dość charakterystyczny, bo ma wejście z rogu. To właśnie było główne

wejście do tego sklepu. Mieli kilkoro dzieci, ale moja mama była wychowywana nie przez nich w mieście, lecz przez jej dziadków Pieńkowskich w Krzywcu. Mieli oni największe na wsi gospodarstwo. Bracia mojego dziadka byli wzięci na front wschodni. Przed końcem wojny brat dziadka Leopold przyjechał na urlop do domu, nie chciał wracać, ale musiał. Po wojnie wszelki ślad po nich zaginął. W latach sześćdziesiątych brat dziadka przysłał list do mojej mamy. Pamiętam, że jak go czytała, to płakała. On przeżył. Pod koniec wojny wycofywał się z wojskiem na zachód. Osiadł w Niemczech Zachodnich.

Co się stało z majątkiem rodzinnym?

Po wojnie moim dziadkom odebrano sklep, oni sami zostali wyeksmitowani do pobliskiego mieszkania socjalnego, mieszkało w nim wiele osób. Nie zdążyli uciec przed frontem. Byli już załadowani na wóz, dojechali tylko do rynku w Aleksandrowie Łódzkim i musieli zawrócić, bo żołnierze byli już w mieście. Również moim pradziadkom odebrano gospodarstwo w Krzywcu. Takie były procedury względem osób, które z różnych powodów podpisały volkslistę. Pradziadek jako obywatel Imperium Rosyjskiego służył pięć lat w wojsku carskim, pod kołem podbiegunowym. Gdy w 1945 r. zbliżał się front, ludzie ze wsi uciekali na zachód, ale on postanowił zostać, bo myślał, że nic mu nie grozi, miał przecież 80 lat i kiedyś służył w armii rosyjskiej. Niestety Armia Czerwona, która nadciągała, nie była już cara, lecz Stalina. W ich domu na chwilę rozgościli się oficerowie, inwentarz i zapasy zostały zabrane. Było zagrożenie bronią. Moja mama Joanna i moja prababcia Pieńkowska wskoczyły do studni i tam przeczekały. Później wołały o pomoc, usłyszał je sąsiad i pomógł wyjść.

A jaka była sytuacja po wojnie?

Pieńkowscy zostali wysłani do odgruzowywania Warszawy. Podeszły wiek, brak jedzenia i epidemia uśmierciły ich w stolicy. W latach siedemdziesiątych mama pojechała do stolicy, aby odszukać ich grób na Służewcu. Było wiele zbiorowych grobów, ale ich nazwiska nie odnalazła na żadnej liście. Mama została w Krzywcu, ale dom, w którym była wychowywana

przez dziadków, został przydzielony rodzinie „zza Buga”, więc w wieku 12 lat poszła na tzw. służbę. Trafiła do sąsiedniego gospodarstwa. Przybyli wtedy do niego polscy przesiedleńcy. Mama opowiadała, że spała z kurami i miała wszy. Jej rodzice z Aleksandrowa Łódzkiego kilkakrotnie stali się o wyjazd do Niemiec, aż w końcu wyjechali gdzieś w 1964 r. Moja mama wtedy już miała męża i dzieci, więc została w Polsce. Zobaczyła swoich rodziców dopiero w latach dziewięćdziesiątych, gdy się wyprowadziła do Niemiec. Moja mama wyszła za mąż za Stanisława Różyckiego, który w 1945 r. wrócił z przymusowych robót. Przebywał u swojej siostry w Krzywcu. Mieszkali u niej kilka lat, ale z czasem moja mama zainteresowała się pustym poniemieckim domem przy cmentarzu. Przeprowadzili się do niego. Nie miał okien, dlatego pierwsza noc wyryła mi się w pamięci, choć miałam wtedy tylko pięć lat. Była wtedy burza i deszcz dostawał się do środka, bo nie było tych okien. Z czasem przylegająca do domu obora została przerobiona na pokój. Przed domem przechodziła droga idąca od głównej drogi w Krzywcu w stronę wsi Stawki. Pamiętam, jak wozy z końmi przejeżdżały po naszym podwórku.

Czy pamiętasz morderstwo na Stawkach?

Oczywiście, pamiętam jak dziś, to był 5 lutego 1957 r., bo wtedy wielu chłopów odbierało pieniądze z mleczarni. Jeden z nich, lubiący wypić i się awanturować, idąc do siebie na Stawki, zbierał też innych niestroniących od alkoholu. Całe to pijane towarzystwo przeszło przez nasze podwórko, bo wtedy droga przy cmentarzu biegła zupełnie inaczej. Cały dzień pili u niego i się wygrażali sąsiadom, że ich pozabijają, bo to chodziło o studnię, która była w pobliżu jego gospodarstwa. Jak moja mama opowiadała, przed wojną i podczas wojny każdy mógł z niej brać wodę. Po wprowadzeniu się nowego właściciela nastąpiły inne zasady. Zabraniał ludziom czerpać z niej i z tych Stawków wozami musieli jeździć po wodę do Krzywca. Sąsiedzi, słysząc wielogodzinne wygrażania, przygotowali się na obronę. Koledzy od kieliszka zaczęli się wykruszać, tamten został sam z rodziną, wyszedł na podwórko i dalej krzyczał, że ich wszystkich wymorduje. Sąsiedzi zabili go na jego własnym podwórku, na kupie gnoju, bo już mieli tego wszystkiego dosyć. Po latach byłam z mamą na Stawkach w miejscu, gdzie stał jego dom i mama zacytowała werset z Biblii, że kto mieczem wojuje,

od miecza ginie. Taki finał jego życia był prawdopodobny, bo już od młodości był agresywny i kradł. Podczas całej wojny był na służbie u mojego pradziadka Pieńkowskiego. Jak go nakrył, że się obija, to niejednokrotnie go bił, nie pradziadek jego, tylko on pradziadka! Taki był hardy. Pamiętam, jak po wojnie okradał nasz warzywniak, raz przyłapałyśmy go z mamą, to uciekł z warzywami w kapocie.

Czy po wojnie rodzina była prześladowana?

Na tle narodowościowym to raczej nie, czasem mówiono na moją mamę „Niemra”, ale prześladowania zaczęły się, gdy w latach sześćdziesiątych została Świadkiem Jehowy. Chodzili po wsi Świadkowie Jehowy z Konstantynowa Łódzkiego i mama się do nich przyłączyła. Byli pochodzenia niemieckiego, ale nie podpisali volkslisty i powojenna władza nie zabrała im majątku. Sama zaznałam prześladowań ze strony kolegów ze szkoły w Krzywcu. Pamiętam, że najdotkliwsze były po lekcjach religii. Pewnego razu wyrzucili mi buty i w zimie musiałam wracać ze szkoły w skarpetkach. Skończyły się wraz ze zmianą szkoły. Ale jak byłam dorosła, przypadkowo spotkałam dwóch kolegów z dzieciństwa. Wracaliśmy z mężem od mamy motorem z koszem. Droga była piaszczysta, więc mąż jechał bardzo wolno. Jeden z nich podbiegł, wyrwał mi torebkę i zniszczył ją.



Adam Pstrokoński w trakcie spaceru badawczego w Krzywcu.
W dłoniach – tabliczka adresowa z jednego ze starych domów, 2025.
Fot. S. Latocha



Krzywiec, lata 50. XX wieku

Józef Powalski, Dominika Łarionow

DYNAMIKA KRAJOBRAZU KULTUROWEGO POWOJENNEGO KRZYWCA

ROZMOWA



Rodzina Powalskich, lata 50. XX wieku.
Od lewej: Danuta Powalska później Tarmanowska, Hieronim,
Aleksandra, Maria później Pryc, Stanisław i Józef

Zacznijmy od najwcześniejszego wspomnienia.

Moja rodzina przyjechała do Krzywca w kwietniu 1945 r. To była *stricte* poniemiecka wieś. Tutaj żyli po prostu Niemcy. Niektórzy wyjechali przed wyzwoleniem, ale część takich biedniejszych albo się nie wyprowadziła, albo pozostała specjalnie na gospodarstwach nowych właścicieli, bo Niemcy służyli po wojnie u nowych osadników. I oni dopiero wyjechali w 1948 r. albo później. Był koło szkoły taki duży barak po drugiej stronie drogi. Niemcy, którzy zostali w Krzywcu, tam zostali zgrupowani. Chyba

w 1948 r. podpalili ktoś i to się spaliło. W dzień się spaliło. To jest pierwsze w moim życiu, co pamiętam. Stałem przy matce i patrzyliśmy, jak płonie. Musiałem się przestraszyć. Po tym pożarze Niemcy zniknęli. Krzywiec jest wsią osadniczą, bo cały napływ był nowych ludzi. Czyli właściwie z tych Niemców nikt w ogóle nie pozostał. Tylko pani Różycka, która wyjechała do Niemiec w podeszłym wieku, tylko ona tutaj cały czas mieszkała. Jej rodzice wyjechali, a ona się zakochała, nie chciała wyjechać i została. Jej wnuczek mieszka w Krzywcu do dzisiaj. Mieszkańcy tak ją trochę źle traktowali. I wreszcie taki starszy od niej o 20 lat facet się z nią ożenił. Poniewierali nią trochę, tak słyszałem. Człowiek był mały, to tam nie wszystko wiedział. Potem wyjechała do swojego syna, do Niemiec. Przyjeżdżała jeszcze czasami, a później to się skończyło, umarła.

A czy pamiętasz innych Niemców, którzy tutaj mieszkali?

Mam mapę Krzywca, na której wszystkie nazwiska są wypisane. To gospodarstwo jest po Turschach, ale ich już tutaj nie było, bo ja ich nie pamiętam. Została jedna kobieta z chłopcem. Mantajka na nią mówili, to ja nawet nie wiem, jak ona miała na imię. Mantajowa została na służbie do 1948 r. Ja z tym chłopcem się bawiłem, po niemiecku ze sobą rozmawialiśmy, bo ona mnie pilnowała. Ja byłem najmłodszy z rodzeństwa, a siostry chodziły do szkoły do Rąbienia. A tutaj szkoła przed wojną była niemiecka, ale w 1946 r., na pewno od września, to ojciec zapisał moje siostry Danutę i Barbarę do szkoły do Krzywca, bo było blisko. Krzywiec to był tak trochę podzielony, bo byli osadnicy miejscowi, tak jak my, albo robotnicy z majątku, z Rszewa, którzy tutaj nie mieli ziemi, a połowa to byli przesiedleńcy, tzw. zabugowcy, oni dostawali za darmo, bo jak tam mieli gospodarstwo, to w ramach tej rekompensaty dostali gospodarstwa, a miejscowi spłacali to w kwintalach zboża. Powiedzmy 300 czy 400 kwintali, to było rozłożone na 40 lat. To już rodzice nie żyli, a ja jeszcze spłacałem.

Jak wyglądało to gospodarstwo w 1945 r., kiedy rodzina tutaj przyjechała?

To było prawie 20 ha z lasem. Tutaj po wojnie nie było nic zniszczone, były i narzędzia, tylko chyba zwierząt nie było, bo jak uciekali, to zabierali, co się dało. Ale tak w większości to było w całości, i to wszystko było.

To było największe gospodarstwo w Krzywcu. Jak nastał socrealizm, no to ojciec został kulakiem, bo miał tyle ziemi i to było za dużo, połowę mu zabrali. Podzielili mniej więcej na pół i wtedy ta splata się zmniejszyła. Na dodatek był wprowadzony lokator, tutaj zamieszkał, ponieważ jak dostał pół ziemi, musiał gdzieś zamieszkać, ale on potem zwał do Konstantynowa Łódzkiego, do miasta. I na jego ziemi powstała spółdzielnia produkcyjna. Każdy swoją ziemię powinien oddać do spółdzielni i należało razem na tym gospodarować. Wszyscy i tak się nie zapisali, ale w końcu powstała i przetrwała do 1956 r. Wtedy Gomułka spółdzielnię rozwiązał, ponieważ korzyści z nich żadnych nie było. Mam gdzieś takie protokoły, z których się dowiedziałem, że ojciec oczywiście tam był zarządcą i tam robił tylko Powalski z dziećmi. Nas o piątej rano wyganiał do pracy w polu. Wypisywał jakieś dniówki, były za to pieniądze, to powiedzieli, że ojciec za dużo zarabia, więc się wycofał z tego. Spółdzielnia się rozleciała. Podzielili ziemię, my też dostaliśmy działkę wzdłuż drogi do lasu. I na tym się spółdzielnia skończyła. Jedyne pożytek z tego był taki, że założyli telefon już w 1951 r.



Krzywiec, koniec lat 40. lub początek 50. XX wieku

A jak wyglądały relacje społeczne w powojennym Krzywcu?

To też były inne czasy, jeżeli chodzi o integrację. Były takie dwa obozy. Przybyłszy ze wschodu no i miejscowi. Różnie to z tym bywało...

Czyli wieś nie funkcjonowała jak jeden organizm?

Wszystko funkcjonowało pod dyktando spółdzielni, trzeba było meldować co tydzień. Były tzw. obowiązkowe dostawy. Każde gospodarstwo oddawało ileś tam zboża, mięsa, mleka po ustalonych cenach państwowych. Na przykład cena rynkowa mleka wynosiła 2 zł, a oddawało się za złotówkę. No i nawet szli chłopcy siedzieć do pierdła, jak się z tego nie wywiązali. Na początku, bez względu na to, czy miałaś krowę, czy nie, to musiałaś się wywiązać z dostaw obowiązkowych i według podziału oddać np. 100 litrów mleka. Jak ktoś nie miał krowy, to musiał odkupić mleko od sąsiada i oddać. A jak ktoś nie miał kasy, to musiał oddać więcej zboża.

A jak wyglądała praca na roli w tych pierwszych latach po wojnie?

Na początku to były tylko konie. Pierwszy traktor to czasy Państwowego Ośrodka Maszynowego w Rąbieniu, który świadczył usługi w polu podczas żniw, bo orka to raczej we własnym zakresie gospodarstwa. Traktory z POM-u jechały na wschód na tereny dawnych Prus, bo tam były ugory, jak wysiedlili Niemców i nie napłynęli jeszcze nowi mieszkańcy. To były pustki. W 1956 r. zaczęły powstawać na wsiach kółka rolnicze, to prawie w każdej wsi było kółko rolnicze, park maszynowy z traktorem, młockarnią...

A czy to, że był na wsi jeden traktor, miało wpływ na integrację lokalnej społeczności?

Ludzie integrowali się, ponieważ musieli sobie pomagać. Jeden miał kopaczkę, drugi miał siewnik i jeden od drugiego był zależny. Jak były wykopki czy omłoty, to potrzebni byli ludzie, więc sąsiedzi przychodzili. Była pomoc wzajemna, nie brał nikt pieniędzy, tylko na odrodek.



Ursus C-45 na licencji Lanz Bulldog produkowany w latach 1947–1954
przez Zakłady Mechaniczne URSUS w Czechowicach.
Krzywiec, lata 50. XX wieku

Jacy ludzie tutaj zamieszkali po wojnie?

Pan Krajewski był muzykantom samoukiem. Grał z pamięci na akordeonie. Był taki inwalida, pan Gonera, chodził o lasce. On taki podobno był złośliwy, prześladował tych Niemców trochę. No taki był charakter. A Niemcy mieli swój cmentarz w Krzywcu, wydzielony z tego gospodarstwa, w którym dzisiaj mieszka pan Perek. Jak Niemcy wyjechali, to nikt się tym nie zajmował. A ja pamiętam, że ten cmentarz był ogrodzony siatką, nagrobków sporo było, ale więcej było grobów ziemnych. Ludzie porozkradali te nagrobki, porozwalali z czasem. I jeszcze jedna historia... Jednego z mieszkańców Krzywca, przybysza zza Bugu, ścigali, tutaj go znaleźli i w jednym gospodarstwie zastrzelili, pochowali go na tym cmentarzu. Psy go wykopały, sprawa się wydała. Jeden z tych przesiedleńców, młody facet, przyznał się, że to on zrobił. Poszedł siedzieć, ale podobno to nie jego wina była, on tylko musiał się poświęcić dla dobrej sprawy.

A w 1989 r. zmienił się ustrój, zmieniła się władza. Czy coś się zmieniło na wsi?

Teoretycznie nic się nie zmieniło, szło wszystko swoim normalnym trybem. W 1975 r. kółka różnych wsi połączyły się w jedną spółdzielnię kółek rolniczych, która przekształciła się w największe przedsiębiorstwo w Aleksandrowie Łódzkim. W czasach kółek rolniczych ta integracja była większa, bo były i zebrania, i były jakieś tam zabawy, spotkania. POM też się rozsypał na początku lat dziewięćdziesiątych. A dzisiaj w Krzywcu mamy tylko dwóch lub trzech rolników. Upadły gospodarstwa indywidualne i zaczęto sprzedawać ziemię na działki.

Wieś zmieniła się od tamtego czasu...

Trzeciego maja 1985 r. dostaliśmy pozwolenie na budowę sieci wodociągowej w czynie społecznym.

Co to znaczy „w czynie społecznym”? Zakasaliście rękawy i wzięliście łopaty?

Powstał Społeczny Komitet Budowy Wodociągu w Krzywcu. Zebraliśmy przede wszystkim pieniądze, za które zamówiliśmy projekt. Na nitkę wodociągową gmina była zobowiązana partycypować w 70%. Natomiast za przyłącza każdy musiał sobie zapłacić, co w krzywieckim układzie wsi było trudne, ponieważ odległość od głównej drogi była różna. Jeden gospodarz miał 10 m, a drugi 110 m. Podjęliśmy uchwałę o ujednoliceniu kwoty i każdy mieszkaniowiec zapłacił tyle samo. To były duże sumy jak na owe czasy, bo chyba 120 tysięcy. Wielu brało kredyty z banku. Na przykład w Niesięcinie mają dom przy domu, nitkę pociągnęli i przyłącza nie były problemem. W Krzywcu na początku nie było wodomierzy i za wodę się płaciło od liczby krów, kur itd. Naliczali nam olbrzymie sumy, ale w końcu pojawiły się te wodomierze. A w międzyczasie zaczęliśmy załatwiać gaz, bo akurat pociągnęli nitkę przez Wolę Grzymkową do Rąbienia, a drugą przez Lutomiersk do Niesięcina. No i jak my się dowiedzieliśmy, że już tutaj mają gaz, no to zaczęliśmy koło tego chodzić. I znowu były zbiórki, wpłaty, znowu był zrobiony projekt w roku 1987. No i jeszcze dobrze gaz się nie skończył, to się zaczęły oczyszczalnie. W latach 1995–1997 wzięliśmy się za te oczyszczalnie. No i teraz każdy ma wodę, ma oczyszczalnię i jest wszystko

w porządku. W 1999 r. 48 osób w Krzywcu było zapisanych na telefon, który przyłączono w grudniu. Czyli wieś była bardzo nowoczesna. No co się zmieniło po 1989 r.? Władza się zmieniła, ale tak naprawdę, jak się ten ustrój zmienił, to czy coś się zmieniło? Po samej wojnie, rok czy dwa, to była taka wolność. Nie wiadomo, co się działo. A potem spółdzielnie produkcyjne, partia, system, zamordyzm i jakoś to było. Przyszedł nowy ustrój i zostałem soltysem i byłem nim do 2012 r.

Zostałeś soltysem i w jakim stanie była wieś? Co się działo w tym okresie transformacji? Rolnictwo się skurczyło?

Ziemia poszła na działki. Pierwszą działkę to ja sprzedawałem po złotych za metr kwadratowy, a dzisiaj ziemia jest za 150 zł. Tak od lat dwutysięcznych sprzedają po trochu też inni, no bo ziemia jest słaba. Szósta, piąta, czwarta klasa i małe gospodarstwa, a dzisiaj trzeba mieć 100 ha, żeby się opłacało mieć gospodarstwo, kupić traktor, kombajn. I wieś się zaczęła zmieniać. Czy to jest dobrze, czy źle? Raczej zmiany są nieuniknione. Tych nowych to się nie zna i klóć się o drogę... I tutaj taka kamienista ziemia jest. Co orka to kamienie. Przy każdym gospodarstwie to była kupa kamieni. Ojciec nas też ganiał, a najwięcej ja. Do dzisiaj mam taki nawyk, że chodzę i zbieram kamienie. W Niesięcinie zrobili drogę, to i się Krzywiec zaczął starać o drogę. Pamiętam, że udział w niej własny mają te kamienie. Przyjechała maszyna, te kamienie pokruszyła i tak powstała żwirówka pod koniec lat pięćdziesiątych. Jak byłem dzieckiem, z mamą do tramwaju w Żabiczkach szliśmy, na tej drodze się przewróciłem, wszystkie kolana, wszystkie łokcie... I mama mi ten żwir wyciągnęła, to pamiętam.

Pokwitowanie.

Niniejszym kwituje odbiór 1750 (siedemset pięćdziesiąt i sto) złotych z kasy Samopomocy Chłopskiej w Rąbieniu na urządzenie choinki szkolnej.

Krzyszów, 19-III-47r.

J. Kuczałowski
Stowarzyszenie
Główny

Publiczna Szkoła Powszechna
 w Krzyżowcu
 gm. Rąbień

Pokwitowanie odbioru 1750 zł z kasy Samopomocy Chłopskiej w Rąbieniu na urządzenie „choinki szkolnej”, 1947 r.

Publiczna Szkoła Powszechna
 w Krzyżowcu pow. Łódzki

Pokwitowanie.

Niniejszym kwituje odbiór 1000 zł stowarzyszenia jednego krzyżowca złotych od Celokształt. Samopomocy Chłopskiej w Krzyżowcu dla zakupienia nagród dla dzieci w związku z zakończeniem roku szkolnego 1949/50.

Krzyszów, dnia 15-VIII-50.

J. Kuczałowski

Publiczna Szkoła Powszechna
 gm. Rąbień
 w Krzyżowcu

Pokwitowanie odbioru 1000 zł z kasy Samopomocy Chłopskiej w Krzyżowcu na zakup nagród dla dzieci na zakończenie roku szkolnego, 1950 r.

Danuta Jurczyk, Dominika Łarionow

ZAŁOŻENIE BYŁO TAKIE, ŻE OSIEDLIMY SIĘ TU NA KRÓTKO

ROZMOWA

Kiedy rodzina Jurczyków przyjechała do Krzywca?

W 1946 r. przyjechaliśmy z okolic Wilna, Mołodeczna, czyli z terenów, które obecnie należą do Białorusi. Za pozostawione tam mienie dostaliśmy możliwość wyboru domu, gospodarstwa. Przyjechaliśmy w kilka rodzin, to były całe klany. Każdy miał osobne dokumenty, na podstawie których otrzymywał gospodarstwo.

Dlaczego nie pojechaliście na tzw. Ziemie Odzyskane?

Nasza rodzina zatrzymała się w Białymstoku, ale rodzina mojego wujka, brata mojej mamy, przyjechała do Łodzi. To był zwiad, bo szukali jakiegoś gospodarstwa. Założenie było takie, że osiedlimy się tu na krótko, bo wszyscy myśleli, że z powrotem wrócą pod Wilno. Przy innym założeniu nikt by takiego gospodarstwa tutaj nie brał. Reszta rodziny mojej mamy osiedliła się w Gdańsku, Zielonej Górze, Poznaniu. W Mołodecznie było wielkie gospodarstwo i za nie prawo do ziemi w Polsce dostała rodzina Dowgiałłów, moich dziadków, i dostała moja mama, i dostała jej siostra, czyli Szwarcewiczowa. To świadczy o dużym majątku pozostawionym pod Wilnem. Nikt nie mierzył, czy był to ekwiwalent. W wyniku podziału jednego rodzinnego gospodarstwa cała rodzina dostała możliwość zajęcia kilku gospodarstw poniemieckich. Moja mama dostała 5 ha, gdzie teraz mają Okupscy. Była tam nieurodzajna ziemia, a ten czas był, kiedy trzeba było oddawać kontyngent, zboże i trzodę. Z tego względu ta ziemia została pozostawiona i przeszła na własność Skarbu Państwa. A ja przegapiłam sprawę w latach osiemdziesiątych. Mogłam to odzyskać, bo są papiery na to.

A czy przyjazd do Krzywca był dla rodziców rozczarowaniem?

To było rozczarowanie i cały czas myśleli, że wrócą do siebie. Było to trudne szczególnie dla mojej babci, która była szlachcianką i pochodziła z bogatej rodziny. Była to mama mojej mamy. Jej rodzina miała dwór, służbę. Moja babcia urodziła dzieci: wujka Dowgiałłę, wujka, który był potem w Warszawie, moją mamę, ciotkę Szwarcewiczową i była jeszcze ciocia Teresa. Babcia miała dwie niańki do swoich dzieci, osobne na dzień i na noc, sama się dziećmi nie zajmowała. Jak jeździła na zabawy jako panienka, to miała w torebce nawet mały pistolecik.

A jak babcia się nazywała?

Babcia z domu była Downar. Mamy brat, który osiadł potem w Warszawie, skończył jeszcze przed wojną prawo na Uniwersytecie Lubelskim. A ponieważ nie zapisał się nigdy do partii, to po wojnie nie zrobił żadnej kariery. Szczególne też są losy mojego wujka, Mieczysława Dowgiałły, ojca Alicji Grochulskiej, który miał przedwojenną maturę. Mógł w ogóle się nie wiązać z gospodarstwem, ale nie chciał, bo była w nich wtedy wielka wiara, że za kilka lat wszystko się odmieni i oni wrócą na swoje ziemie. Wuj myślał, że wróci do Wilna i pójdzie pracować do urzędu skarbowego, tak jak było przed wojną. Mama miała małą maturę przed wojną, tata miał średnie wykształcenie, bo pracował jako naczelnik poczty w Mołodecznie. Historia mojego ojca to zawsze był temat tabu, bo cały czas był w tej rodzinie strach. Nazywał się naprawdę nie Adam Jurczyk, ale Jużyk, i siedział w więzieniu w Ostaszkowie wraz z innymi polskimi oficerami. Udało mu się uciec, ale zmienił nazwisko i miał wszystkie dokumenty podrobione, włącznie z datą urodzenia itd. Po wojnie wyjechał, ale cała jego rodzina została. I potem kontakt był z nimi tylko sporadyczny. Ojciec bardzo się bał, nie chciał nikomu robić kłopotu. Dokumenty na zmienione nazwisko załatwił mu znajomy jeszcze sprzed wojny, który nazywał się Markowski. Pracował on w takiej instytucji, że mógł „legalnie” przygotować papiery sfalszowane. Masa ludzi miała takie sytuacje. Przecież jak wtedy ten Szwarcewicz Romek zaabił tego akowca w lesie, to tata wpadł w popłoch. Miał jeszcze wtedy swoje prawdziwe dokumenty, to wszystko od razu spalił, bo się bał, że mogą przyjsć...

A jaka to była wieś?

To była wieś zamieszkała przez większość niemieckich rodzin.

Co się z nimi stało?

Na przykład Adolf Omet, nasz gospodarz, który mieszkał tutaj ze swoimi rodzicami i bratem. W 1946 r. nikogo już nie było z tej rodziny. Adolf walczył pod Piotrkowem Trybunalskim po stronie niemieckiej. Pod koniec wojny został ranny, granat urwał mu rękę. Po wyzwoleniu przyjechał do Krzywca. Zobaczył, że my jesteśmy. Mój dziadek, bo wtedy jeszcze żył, powiedział: „Panie Omecie, dzielimy podobne losy. My musieliśmy zostawić wszystko na Wileńszczyźnie i się spakować. Pana była ta posiadłość w Krzywcu. Proszę zabrać wszystko, co zostało tu schowane lub po prostu ukryte”. Adolf wtedy został w stodole i prawdopodobnie miał coś tam, bo gdy wyjechał, widoczne były ślady kopania. Wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Faktycznie do Krzywca początkowo ciągle ktoś z tych Niemiec przyjeżdżał albo z rodziny, albo dzieci i wnuki do każdego gospodarstwa w odwiedziny zobaczyć. Czasem fotografowali. A moja mama zawsze się zastanawiała, jak nasz Omet żyje. Wszyscy na wsi mówili, że przyjechali Niemcy do Powalskich, do Kołodziejczyka, do Romaniaka, do kogoś tam, a do nas nie. No i kiedyś... To była jesień, we wrześniu były wykopki, przyjeżdża ktoś taksówką. Rodzice patrzą, a to ich Niemiec. On też nie był pewny, czy oni tu nadal mieszkają, i sobie zamówił hotel w Łodzi. Rodzice mu nie pozwolili zostać w mieście, bo rozumieli, jaki to sentyment dla niego wrócić na to miejsce. Został wtedy na tydzień. Potem jeszcze raz przyjechał i wtedy zaproponował, żeby tata pojechał w odwiedziny do niego w dowód wdzięczności, że my tak z sercem go przyjęliśmy. Tata bał się jechać do Niemiec, bo już był w podeszłym wieku. Omet mnie zaprosił i pojechałam w 1978 r. do Hamburga na dwa tygodnie.

Co o nim wiesz?

Jak pojechałam, to on już był emerytem. W Hamburgu pracował zawodowo, miał mieszkanie, ożenił się i miał córkę. Niestety to małżeństwo się rozpadło, nie mieszkał z żoną, ale miał przyjaciółkę. I zachował się bardzo

elegancko, żeby nie było problemów w związku z moją wizytą u niego jako samotnego mężczyzny. Zorganizował mi pobyt u jego przyjaciółki. To były inne czasy niż dzisiaj. Niemcy były podzielone na dwa osobne kraje: Niemiecką Republikę Demokratyczną, z rządem partii komunistycznej, i kapitalistyczny RFN. Omet był przygotowany i powiedział, że jeżeli zechcę, to mogę zostać w Hamburgu. Praca dla mnie była załatwiona i wszystko. Nie zostałam, wróciłam do Polski. Potem jeszcze raz przyjechał, bo chciał bardzo, żebym nawiązała kontakt z jego córką. Byłyśmy w takim samym wieku. Córka należała do młodego pokolenia, oderwanego od historii swoich przodków, wyszła za jakiegoś Azjatę. To małżeństwo niestety się rozsypało. Jak Omet umarł, to kontakty się urwały. Wtedy w Hamburgu byłam niezwykle ugoszczona, oprowadzona po mieście i okolice. Jadąc tam, zastanawiałam się, co mogę mu podarować w prezencie. Mielśmy wtedy od strony gospodarstwa Kołodziejczyka taką jabłoń, którą jeszcze on zasadził. Zawiozłam mu te jabłka. Omet się rozplakał, miał sentyment do Krzywca i do tej ziemi.

To piękna opowieść... A jaka jest rodzinna opowieść o przyjeździe do Krzywca?

Rodzice i dziadkowie nie mogli się pogodzić z tym, że to były dla nich gorsze warunki niż mieli w Mołodecznie. Przed wojną planowano, że tam we dworze i w majątku jedynie moja mama i ciocia Szwarcewiczowa miały pozostać w przyszłości. Reszta rodziny była wykształcona i pracowała w urzędach. Cała rodzina mojej mamy była wykształcona, kuzynostwo było po wyższych studiach. Mama tutaj nie mogła się odnaleźć, nie miała z ludźmi wspólnego języka. Później już musiała się zaaklimatyzować. Na owe czasy dom, który rodzina przejęła po Omecie, nie był zły. Był murowany, ceglany, a tam mieli dom duży, ale drewniany. W Krzywcu były bardzo dobre warunki. Obo- ra była murowana i dwie stodoły drewniane. Obejście było dobre, nie to co u Dowgiałłów, gdzie był ten domek mały słomą kryty. Szwarcewiczowie osiedlili się w domu z cegły. Losy tamtej siostry, która przyjechała tutaj jako pannenka... Muszę się zapytać kuzynki, jak ona poznała Szwarcewicza, wdowca, który miał trzech synów, a żonę zabili Ruscy. On z dziećmi zdążył uciec do lasu, a żona została w domu i tam została zabita. Tutaj przyjechał jako wdowiec z trzema synami. No i zapoznał się z moją ciocią, no i się poženili. Potem jeden z synów Szwarcewicza zamordował w lesie akowca.

Dlaczego?

To było do końca owiane tajemnicą. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Tego akowca gdzieś z Łodzi przywieźli do Krzywca. Akowiec nocował jedną noc, a potem poszli na Stawki i tam został zastrzelony. Roman Szwarcewicz sam zameldował się na milicję. Mój ojciec znał całą prawdę o tym zabójstwie, ale nigdy się o tym w domu nie rozmawiało. Roman siedział w więzieniu, a jak wyszedł z niego, to psychikę miał zniszczoną. To był inteligentny, mądry człowiek, a potem to była tylko ucieczka w alkohol. Zdzisław Szwarcewicz w swoim gospodarstwie hodował gruszki, miał bardzo dobre, takie małe pierdziołki. Szkoda, że człowiek jako młody nie dociekał... Nie pytałam nikogo... zresztą wszyscy bali się przekazywać dzieciom. Pamiętam jak przez mgłę, jak to się stało... Bo to zabójstwo było w latach pięćdziesiątych, jak ja już byłam na świecie. Pamiętam jak przez mgłę... Rodzice coś mówili, że tutaj zostali rozstrzelani Niemcy, w szopie mieszkali, ale nie wiem dokładnie. Była szopa, która spłonęła. Nie wiem, czy ktoś ucierpiał w tym pożarze. Wszyscy Niemcy, którzy mieszkali przed wojną i w czasie wojny, wyjechali. Nie wyjechali razem, tylko partiami – każdy się zbierał, pakował i wyjeżdżał. Najpóźniej wyjechała Różycka. W szkole też mieszkał Niemiec i on wyjechał do Bogatyni. Było wtedy chyba 29 gospodarstw. Jakubczyk, Bełdowski mieszkali w Krzywcu jeszcze przed wojną, czyli ze wsi nie wszyscy wyjechali. Polacy, którzy tutaj byli, zostali. Moja mama mówiła, z lekkim przekąsem, że zanim przejęliśmy to gospodarstwo, to miejscowi fornale wszystko z niego wynieśli. Odnosiła się tak do tych, którzy pracowali w majątku Rszew. Rodziny Kołodziejczyków, Janczaków przyjechały zza Bugu. Teraz żyją potomkowie tych rodzin i wszyscy cały czas mieszkają blisko siebie. A moja mama po całej przeprowadzce do Polski bardzo ubolewała, że część jej rodziny osiadła w Gdańsku, druga część w Zielonej Górze, w Poznaniu, w Warszawie. Nie było nakazu osiedlenia się w danym miejscu, tylko tak jakoś wyszło, że jedni tutaj, drudzy tam. I w ten sposób rodzina, która pod Wilnem mieszkała blisko siebie, po 1946 r. zamieszkała na dwóch różnych krańcach kraju. Kuzynostwo mojej mamy uznało, że jako inżynierowie będą mieli pracę przy odbudowie stolicy, dlatego się tam osiedlili. A moja mama i jej rodzice cały czas myśleli, że są w Krzywcu na chwilę i zaraz wrócą do swojego majątku. A kiedy się już

wszyscy zorientowali, że nigdy to się nie stanie, to było za późno, aby się przenieść ze wsi do miasta. Jednej rzeczy w tych wyborach moich rodziców nie rozumiem. Tata mój nigdy nie miał nic do czynienia z gospodarstwem, a moja mama była panienką z dworu. Na gospodarstwie się nie znała, może trochę pomagała, ale zdecydowanie to nie było jej zajęcie. W majątku mieli parobków i fernali do pracy, nikt z mojej rodziny nie pracował w polu. Może dlatego moi rodzice do mnie i do brata cały czas mówili, że mamy się uczyć, aby nie pracować tak jak oni. Mama w domu rodzinnym tylko sporadycznie pomagała w gospodarstwie, a po wojnie w Krzywcu to naprawdę trzeba było pracować. Mieli krowy, hodowali ziemniaki, warzywa. Jeździli na rynek i sprzedawali. Mieliśmy jeszcze 5 ha na Stawkach, ale nie pamiętam, w którym roku mama z tego zrezygnowała. Teraz bym była bogata. Z tego gospodarstwa utrzymywała się cała rodzina, czyli dziadek i babcia, którzy już nie pracowali. Należy pamiętać, że nie było emerytury dla rolników. Mamy siostra skończyła studia, brat skończył studia, trzeba było zapłacić w Łodzi za mieszkanie, bo nie mieli możliwości dojeżdżania z Krzywca do miasta. Jaka to była wieś... U Powalskich wszyscy wykształceni. W Krzywcu mieszkali ludzie, którzy chcieli się dalej rozwijać, iść do przodu. Rodzina Mereckich wychowała dwóch lekarzy. Tyle ludzi się wykształciło z takiej małej wsi, bo nauka w czasach powojennych była bardzo ważna.

A to była biedna wieś?

Pamiętam chałupę Zosi, mojej koleżanki ze szkoły. Była drewniana, słomą kryta. W chałupie nic prawie nie było. Zosia kiedyś przez dwa tygodnie chleba nie jadła, taka była tam bieda. Starszy brat Zosi miał zdolności artystyczne, ładnie malował. Nauczyciel Dychtalewicz załatwił mu szkołę z internatem w Łodzi, by się dalej kształcił i może nauczył się jakiegoś zawodu, ale niestety ojciec chłopca stwierdził, że nie ma kto w polu pracować, pojechał po syna i zabrał go ze szkoły. Wszyscy na wsi hodowali kury. Cały tydzień się zbierało jajka, a w sobotę się zawoziło do Konstantynowa Łódzkiego na rynek. Moja mama odstawiała do sklepu Morawińskiej, a Powalska do Kamockiej. Ojciec Zosi odstawiał na rynek. Najbogatsze gospodarstwo to było Powalskich. Było duże, do lat pięćdziesiątych liczyło ponad 20 ha. Potem państwo im zabrało. To było rozkułaczanie.



Wycieczka do Krakowa mieszkańców Krzywca i okolic, lata 50. XX wieku



Wycieczka do Wieliczki mieszkańców Krzywca i okolic, 1956 r.

A jak repatrianci zostali przyjęci w Krzywcu przez Polaków, którzy tutaj się osiedlili?

Żle. W szkole mój brat był szykanowany, bo mówił z akcentem. Rodzice też mówili z akcentem, mama mówiła z zaśpiewem. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że rodziny, które tutaj przyjechały, były postrzegane jako Ruscy, ponieważ po 1945 r. w nowych dokumentach każdy miał napisane miejsce urodzenia ZSRR, a wszyscy byli urodzeni w przedwojennej Polsce. Ale na całe szczęście nie byli sami. Bo do Krzywca przyjechało kilka rodzin: my, Szwarcewiczowie, Dowgiałłowie, Mereccy, Duchowscy. Tyle rodzin.

Trzeba było się zaaklimatyzować i trzeba było się tolerować. Zawsze to podkreślam, że o ile na początku wyzywano od Ruskich czy zabugowców, o tyle potem była to bardzo solidarna wieś. Tutaj było tak, że jak w jakimś gospodarstwie zachorowała krowa, to cała wieś wiedziała. Mój tata zawsze miał całą półkę lekarstw weterynaryjnych i dlatego mieszkańcy przychodzili do nas; jak krowa się wzdęła, to ojciec miał jakieś leki, które rozpuszczało się w wodzie. No i moja babcia nauczyła się robić zastrzyki, a potem tata. No i jak było potrzeba, to chodzili po wsi i robili zastrzyki ludziom. Bańki też stawiali. Mieszkała np. taka Trelowa i ją często korzonki bolały, miała zawsze przepisywane zastrzyki przeciwbólowe czy witaminę B. Tata prawie bez przerwy chodził jej robić zastrzyki. To nie była wtedy prosta sprawa, bo strzykawkę trzeba było wygotować w rondelku. Mój tata na wsi stał się takim domorośłym weterynarzem i lekarzem. Czasami w nocy się krowa cielili. Jedna rodziła lekko, ale też zdarzało się, że trzeba było pomagać. To szła pomagać cała wieś. Kiedyś u Kołodziejczyka to 11 osób było w nocy, bo usiłowali wyciągnąć cielaka. Zresztą my z nimi mieszkaliśmy obok siebie. To ojciec często mówił, że idzie do Kołodziejczyka, bo go nie widział od rana na podwórku, to idzie sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. I odwrotnie też się zdarzało. Była taka wzajemna życzliwość sąsiedzka i zainteresowanie. Teraz tego nie ma. Chociaż na tym osiedlu pod lasem, od strony Żabiczek, jest większa solidarność sąsiedzka. Tam mieszka moja kuzynka Alicja Grochulska, to wiem, że sąsiedzi pytają, czy jej nie trzeba pomóc. Być może to wynika z topografii, bo tam jest dom przy domu. U nas jest nieco inaczej.

A jak zmieniła się wieś przez te lata, które przeżyłaś w Krzywcu?

Może droga by była dobrą metaforą. Bo była gruntowa i każdy gospodarz musiał dbać o jakiś jej kawałek. Potem była szlaka, która jak się człowiek przewrócił, to się wbijała w skórę i tkwiła długo. Aż w końcu nastał asfalt, który uległ stopniowej degradacji... Były dziury łatanie sporadycznie, miejscowo... Aż cała droga została wymieniona i teraz jest prosta, równa, płaska. Kiedy była szlaka, to wszyscy chodzili piechotą do tramwaju, który jeździł po drodze z Konstantynowa Łódzkiego do Lutomierska. Jak się przeszło przez Żabiczki na przystanek, to latem trzeba było mieć mokry ręcznik w torbie, by obetrzeć nogi po tej długiej pieszej wycieczce. Na wsi też wszystko się zmieniło w 1976 r., kiedy pojawiły się emerytury dla rolników. Przedtem tego nie było, rolnik musiał pracować do śmierci.

Alicja Grochulska, Sebastian Latocha

I TAK WRÓCIMY DO WILNA, TO NIE MA SENSU, ŻEBYŚMY SIĘ TUTAJ ZASIEDZIELI

ROZMOWA

Rozmawiamy o Krzywcu, ponieważ tutaj się urodziłaś i wychowałaś, prawda?

Ja się urodziłam w Krzywcu, ale w innym domu niż ten, w którym jesteśmy, na terenie gospodarstwa, w domu, z którego zachował się tylko kamień przed wejściem. Ten kamień pokazuje, gdzie wchodziło się do tamtego domu, którego nie ma. Przed wejściem był kamień i ten kamień jest dzisiaj w tym samym miejscu, bo nikt takiego kamienia nie przenieś w inne miejsce. I ten kamień pokazuje, gdzie było wejście do tego starego domu, którego nie ma. Było też wejście do obory, były kury, koń był i krowy trzymane. No i tutaj to było bardzo ładnie. Duży sad był, dużo było śliw, dużo jabłoni. To wszystko rosło, nie było ani pryskane, ani nic. Naprawdę takie dorodne te owoce były, bardzo smaczne, bardzo dobre. Jeszcze jedna jabłoń jest taka stara, właśnie taka niemiecka. Nazywamy tę jabłoń „grechoty”, więc są dobre te owoce, jabłka, bardzo dobre. Po wojnie rodzice przyjechali z Wilna, z frontem tutaj przyjechali do Łodzi. Gdzieś tam w Konstantynowie Łódzkim tata jakieś lokum znalazł, ale uznał, że to jest nie jego bajka, bo i tak, mówi, wrócimy do Wilna, to nie ma sensu, żebyśmy się tutaj zasiedzieli. Rodzice i rodzeństwo taty zamieszkali tam, gdzie państwo Jurczykowie. Tata był żonaty, mój brat tam się urodził. Teraz to jest ul. Wygodna. I tam się osiedlili, ale było bardzo dużo osób, razem jedenaście. Mama uznała, że nie da się tak żyć razem, a prawie wszystkie gospodarstwa były już pozajmowane, a tutaj był budynek ponemiecki wolny, ale nie znam nazwiska, ja nie pamiętam, jak się nazywali Niemcy, w których domu zamieszkali. Oni wyjechali do Niemiec, a tutaj rodzice się osiedlili, ale w tamtym domu nie mogli od razu zamieszkać, bo był zajęty, więc był

taki mały budynek gospodarczy, gdzie była jedna izba i w tej izbie zamieszkali. Przyjechali z niczym, nawet widelca przecież nie mieli, nawet łyżki nie mieli, nawet talerza nie mieli, nic tutaj nie mieli.

Wysiedlono ich z Wilna?

Uciekali z Wilna. Nie byli wysiedleni. Musieli uciekać, bo mama dostała nakaz pracy do Niemiec, więc tata szybko mamę stamtąd zabrał. Niemcy przykaz taki dali, że mama jako sama na roboty ma jechać, nie z ojcem, tylko sama, a przecież już była zamężna. W 1941 r. wzięli ślub w Wilnie, w kościele Świętych Piotra i Pawła. I mieszkali w Wilnie. Uciekli najpierw do rodziców, do Kopanego Błota, gdzie mieli majątek, i stamtąd od razu, jak już mama miała ten nakaz, cała rodzina, wszyscy na pociąg. Byli gdzieś tam na granicy, w takim ośrodku dla uchodźców, chyba ze trzy miesiące, a później trochę tata z bratem rozeznanie zrobili. No i mówią, że właśnie najlepiej w okręgu łódzkim będzie. To był maj 1945 r. Tata pracował w Wilnie w urzędzie skarbowym, a mama pracowała w cukierni. I to wszystko musieli zostawić, bo ten front, te bombardowania były.

Uciekli, zostawiając całe swoje wileńskie życie? Jak to przeżyli? Jak to zapamiętali? Jak się czuli, zostawiając za sobą to wszystko, z czego składało się ich życie?

Wszystko zostawili. Nie mieli nic dosłownie ze sobą. Nawet jedzenia nie mieli. Tylko dziecko, więc jakieś podstawowe rzeczy, na pewno jakiś tam kocyk, jakieś tam ubranie. I jakieś zdjęcia tylko, zdjęcia z Wilna.

Można powiedzieć, że zaczęli w Krzywcu wszystko od zera. Musieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Ich wileński świat nagle przestał istnieć. Beata Szady, diagnozując kontekst kulturowy powojennych Warmii i Mazur, stosuje pojęcie klątwy wiecznego początku (Szady, 2020, s. 10–11) autorstwa Barbary Fatygi. Odnosi się do sytuacji, w której porządek życia zostaje przerwany przez czynniki zewnętrzne: polityczne, ekonomiczne, przyrodnicze. Od początku, od zera zaczynają ludzie, którzy bez własnej winy ponoszą ich konsekwencje, zachowując wolę i siłę przetrwania. Czy państwo Dowgiałłowie z Wilna doświadczili w Krzywcu klątwy wiecznego początku?

Oni nie myśleli, że zostaną w Krzywcu. Oni myśleli cały czas, że wrócą do Wilna. Mama to płakała, mówiła, że nic nie umie zrobić w gospodarstwie, a tata pochodził z rodziny, która miała majątek, dużo ziemi. I bydło mieli, i świnie mieli, i gęsi mieli. Tata był obeznany z takimi pracami. Po maturze pojechał z bratem do Wilna, zatrzymali się u rodziny i zaczął pracę w urzędzie skarbowym, a potem uciekli z Wilna i już zostali tutaj na zawsze. I nawet ani razu nie byli w Wilnie. Ja tam byłam dwa razy. Wiem, że to było na Porubanku. Mama milczała na ten temat, tata też w ogóle nie chciał o tym rozmawiać, bo to było dla niego przykre. Danusia drążyła zawsze ten temat z ojcem i babcią, która ją wychowała. Babcia cały czas była. Nie miała zajęcia takiego, a tutaj u nas to czwórka dzieci była, więc mama była po prostu cały czas zajęta. Ziemia klasy piątej, szóstej, słaba. I z tego względu tata musiał cały czas pracować gdzieś tam dodatkowo. Cały czas musiał tata dorabiać, nie było czasu. Przeleciało, nie wiadomo kiedy, rodzice nigdy nie pojechali do Wilna, na początku nie można było, a potem wiek swoje zrobił. Pieniądzy też za dużo nie mieli, więc nie pojechali. Tylko mama ciągle powtarzała, że musimy tam pojechać.

Jednocześnie obrabiał ziemię?

Tata pracował w urzędzie gminy, a po pracy przyjeżdżał i pracował w polu. Mama pracowała w gospodarstwie. Trzy krowy zawsze były. Były jakieś tam świnki ze dwie, żeby dla siebie to mięso było. No i jeden koń zawsze był, ponieważ nie było takich maszyn, jakie są teraz.

A dlaczego rodzina osiedliła się w Krzywcu a nie gdzie indziej?

Tata jeździł z bratem po całej Polsce. Wiem, że i w Szczecinie byli, i w Elku. Część rodziny się usadowiła na przykład w Gdańsku, Zielonej Górze, Wrocławiu. Ale tata z bratem uznali, że najbezpieczniej będzie jednak tutaj, w centrum, bo Rosjanie daleko, Niemcy daleko.

A jakie były pierwsze przeżycia rodziców w Krzywcu?

Wiem, że mama płakała. Nie chciała tutaj być, ponieważ nie umiała nic zrobić w gospodarstwie, w polu, ani z kurami, ani z innymi zwierzętami absolutnie. I był dom taki drewniany, razem z oborą. Kryty był strzechą. Dopóki Niemcy

się z niego nie wyprowadzili, mieszkaliśmy w takim małym budynku gospodarczym, szopie, letniej kuchni, takie były tam skrzynie na zboże, na ziemniaki. Murowana, kryta dachówką. Ale już tamtego starego domu nie ma. Ludzie nie umieli... Dom był kryty strzechą i dach zaczął przeciekać, trzeba było go zlikwidować. Był duży, jeden pokój bardzo duży, drugi mniejszy był, kuchnia była i taka sień, a lewa część to już była obora. Jeszcze był duży piec chlebowy, gdzie właśnie mama chleba nie piekła, tylko piekła ciasta i piekła mięso w tym piecu. Nie był to luksusowy dom. U Danusi tam był budynek nowy, murowany, kryty był dachówką, tam był budynek w dobrym stanie. A tutaj no to była taka ruina i ziemia słaba, takie piaski były. Dużo tej ziemi tata dostał w ramach rekompensaty za majątek na wschodzie. Ale to były piachy, nie było z tego żadnego zysku. A jakie mieli wyjście? Już nie mieli powrotu. I zresztą nie wiem, czy by wrócili do Wilna, cała rodzina osiedliła się w Polsce. Tata to cały czas mówił, że my tutaj nie zostaniemy, że tam zostawiliśmy swoje życie, cały majątek, dom. Jego rodzice, moi dziadkowie, mieli dużą gospodarkę.

A pamiętasz, jak wyglądało wnętrze poniemieckiego domu, krytego strzechą, którego dzisiaj nie ma? Pamiętasz meble, obrazy? Co się stało z tymi rzeczami? Czy rodziły poczucie obcości? Czy ktoś wziął je w opiekę? Jak się z nimi obchodziliście? Liczba tych pytań świadczy o złożoności problemu życia pośród cudzych rzeczy, które zmieniły swoich właścicieli na ogół bez winy jednych i drugich, nowych i starych. U Joanny Bator są one poniemieckim szajsem (Bator, 2020), u Karoliny Kuszyk „cudzymi śmieciami, na których rodzice i dziadkowie musieli się urządzać, bo nie mieli innego wyjścia” (Kuszyk, 2019, s. 21). A czym były te przedmioty dla rodziny Dowgiałłów?

Były ładne rzeczy, było bardzo ładne łóżko, takie rzeźbione, nie było z drewna, tylko z jakiegoś metalu, ale ładne, naprawdę takie solidne, porządne łóżko było. Poza tym jeszcze szafa była ładna, z lustrem. I taki kredens był, takie ładne szybki były, ale to wszystko, jak to w starym budynku, zalane zostało przez nieszczelną strzechę, której nikt nie umiał naprawić. Znalazł się taki pan, księgowy z kółka rolniczego. Jak on zobaczył te rzeczy, że to wszystko niszczeje, to wziął je sobie, zabrał to wszystko, te rzeczy. Jak tam mieszkaliśmy, to używaliśmy ich, były w dobrym stanie, ale wilgoć i deszcz swoje robiły. W tamtych czasach to wszystko było na przydział. Na cement przydział, na cegły przydział, na druty przydział. I trzeba było mieć jakieś chody,

żeby to wszystko można było kupić, a i tak w niewielkiej ilości. On wziął to wszystko do renowacji. Takie czasy były, że można było takie rzeczy oddać za darmo, no bo kto miał się tym zająć? Zresztą nawet nie było pomysłu takiego, że można gdzieś tam oddać do renowacji. Pamiętam, jak sama czyściłam je naftą, żeby miały połysk, żeby robactwo nie wchodziło. To naprawdę były solidne, ładne meble, ale jak kupiliśmy nowe, to po co nam były stare rzeczy?

A jak wyglądało życie z Niemcami w jednym gospodarstwie, ich gospodarstwie?

Nie wiem, oni szybko zniknęli, wyjechali do Niemiec, a potem ze dwa czy trzy razy byli tutaj i rozmawiali po polsku z mamą i tatą, a my byliśmy dziećmi. Ja nie byłam tego ciekawa. Ze starych mieszkańców to po wojnie nikt nie został w Krzywcu. A Niemcy zniknęli bardzo szybko, nakaz deportacji dostali. I rodzice sami zostali na dużym gospodarstwie. Większość była przyjezdnych Polaków. My jako z Wilna, i nas przezywali zabugowcy. Do szkoły się chodziło, to nie było innej mowy tylko: zabugowcy, zabugowcy.

A co się za tym kryło?

Płacz. Dzieci nie chciały się bawić z nami, nie chciały rozmawiać. Byliśmy odpychani przez tutejszych. Potem przeniosłam się do szkoły do Konstantynowa Łódzkiego, potem do Łodzi, to już tego nie było. Przeniosłam się do dziadków, ale do dziadków przyszywanych, bo też razem z frontem uciekli z rodzicami i w ten sposób się zapoznali.

A czy lubisz Krzywiec?

Podoba mi się, jest spokój, nie narzekam na sąsiadów. Mam bardzo dobrych sąsiadów. My nie mamy dzieci, więc zimą, a kawał jest do Żabiczek do tramwaju czy do autobusu do Niesięcina, to sąsiedzi pomagają. Wszyscy tutaj jesteśmy tak po prostu zaprzyjaźnieni, ale jak chodziłam do szkoły podstawowej, nie lubiłam tutaj tych sąsiadów za bardzo. Pamiętam, że do państwa Czapskich się chodziło na jarmużkę, z nimi mieliśmy bardzo dobre relacje. Mama tego nie robiła, bo to nie bardzo jej smakowało, taka roślina, to chwast jest w zasadzie. Tylko te czubki zbierali, myli, kroili, na patelni dusili i do tego jajka, właśnie takie jedzenie. To chwasty były, bardzo dużo tego było, a teraz

prawie nie ma przez opryski. Państwo Mereccy pomagali trochę mamie tutaj. Jak taty nie było, a krowa się celiła, to co mama sama by zrobiła? Musiała iść do sąsiadów po pomoc. Tacy byli uprzejmi. Ja jestem tutaj urodzona, sąsiadka Czapska mnie odebrała, w tym domu, na tej posesji. Ja tutaj dobrze się czułam, bardzo dobrze. Tylko to było takie przykre, że zabugowcy. Przecież to nie była wina ani rodziców, ani dzieci. Ale tak nas tutaj, mnie i braci, przezywali, tak byliśmy odtrącani po prostu przez tutejszych, ale tylko dzieci tak sobie kombinowały, że my nie jesteśmy na swoim miejscu, nie tutaj, niepotrzebni.

A mama nigdy nie pogodziła się ze stratą? Z zamianą Wilna na Krzywiec?

Mama była sierotą, ale sobie radziła w życiu bardzo dobrze. Jak pracowała w cukierni, to i stać ją było na wynajęcie mieszkania. Stać ją było, żeby kobieta przychodziła posprzątać w mieszkaniu. Żeby wyprać jej, żeby ugotować obiad. Na manicure, żeby dobrze wyglądać. No i na to ją było stać, takie miała w Wilnie życie, a tutaj prowadziła gospodarstwo, inny styl życia na wsi. Mamie było z tym bardzo źle, ale jak tata zmarł, a mama była już wiekowa, to nie za bardzo radziła sobie, nie chciało jej się gotować. Zaproponowałam jej, żeby na zimę zamieszkała u nas w blokach, mówię, chodź, zobaczysz, jak się mieszka w blokach. No to u nas tylko trzy miesiące była. Powiedziała, nie, to nie jest jej życie, nie, ona powinna tutaj być, w Krzywcu.



Budynek starej szkoły, obecnie Świetlica Wiejska w Krzywcu, 2025.

Fot. I. Powalska

*Lilla Kacprzak, Stefania Pstrokońska, Adam Pstrokoński,
Sebastian Latocha*

W KRZYWCU SPOTKALI SIĘ LUDZIE Z RÓŻNYCH STRON

ROZMOWA

Kiedy rodzina Pstrokońskich pojawiła się w Krzywcu?

Stefania: Nie tak dawno temu. W 1979 r. kupiliśmy gospodarstwo w Krzywcu, bo my jesteśmy wysiedleńcy z Jeziorska nad Wartą, gdzie dzisiaj jest zalew. Mieszkaliśmy przy samym kościele w Siedlątkowie. I tak my kupiliśmy to gospodarstwo od człowieka, który tutaj zamieszkał po wojnie jako zabugowiec, czyli repatriant zza Bugu. Dostał tutaj poniemieckie gospodarstwo, ale zrezygnował z niego, nam je sprzedał i zamieszkał w Konstancinowie Łódzkim.

Lilla: Specyfika Krzywca polega na tym, że gospodarstwa mają ziemię dookoła domów. Nie są to wąskie pola jak w większości wsi, tylko pośrodku ziemi jest gospodarstwo. Kiedyś, powiedzmy, było nas od 25 do 35 numerów. Oczywiście, nie wszyscy byli rolnikami, ale przeważnie tak. I to było na tyle fajne, że nie było takiej gęstości zaludnienia w Krzywcu jak teraz. Każdy mieszkał na swoim.

Adam: Te domy były mocno rozstrzelone. Na przykład w Niesięcinie przy ulicy są gospodarstwa i ich pola są z tyłu. A u nas było wszystko wkoło.

Lilla: Przez wiele lat, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, były tutaj kurniki. Duże fermy kur. Na jajka. Kury nioski. Tutaj nigdzie w okolicy tego nie było, u nas to była taka specyfika. Kolejna rzecz, w przestrzeni kilometra, dobrego kilometra, działała jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ferma lisów. Pamiętam ją. Klatki malutkie, zapach specyficzny, pisk, bo one tak piszczą. Ale zaczęły się problemy, ponieważ w Krzywcu pojawili się przybysze z miasta, bo to jest takie atrakcyjne miejsce, przy

lesie. I ferma lisów zniknęła. Było przede wszystkim jednak rolnictwo, gdzie ludzie siłą rzeczy współdziałali, ponieważ u nas jest słaba klasa ziemi.

Adam: Topografia Krzywca jest bardzo ciekawa. Przed reformą administracyjną w 1999 r. Krzywiec był ostatnią wsią województwa łódzkiego, ponieważ Babiczki to już było województwo sieradzkie. Jak się wyjdzie w pole, a jesteśmy na granicy województwa, to widać centrum Łodzi, widać Manhattan i elektrociepłownię. Taka ciekawostka.

Lilla: To było dla nas takie śmieszne, że w stanie wojennym [13 grudnia 1981 r. – 22 lipca 1983 r.] trzeba było prosić o pozwolenie na przekroczenie granicy województwa. Babiczki po sąsiedzku były w innym województwie, a na wsi jako na wsi trzeba było współpracować.

Stefania: W starej szkole kobiety ze wsi założyły Koło Gospodyń Wiejskich w Krzywcu. No i tam schodziły się i Koło funkcjonuje do dzisiaj. Rozwija się coraz to bardziej. Trzymają się te kobiety tak razem.

A dlaczego kupiliście gospodarstwo w Krzywcu? Jako wysiedleńcy mogliście przeprowadzić się gdziekolwiek, a jednak wasze życie przeniosło się tutaj...

Stefania: Chcieliśmy być bliżej miasta. Nad Wartą mieliśmy dobrą ziemię, nie powiem, bo pszenica, buraki rosły nam, ale już ta kultura szła w górę. I my już zaczęliśmy odczuwać, że nam trochę więcej oświaty potrzeba. Takiego rozwinięcia się. Młodzi wtedy byliśmy. Córka miała pięć lat. No i ciągnęło nas bliżej miasta.

Adam: Siostra i brat jeszcze urodzili się i wychowywali się w Siedlankowie. Ja jako ostatnie dziecko tutaj jestem w 100 procentach.

Lilla: Ale to jest ważne, że wcześniej rozeznanie zrobił szwagier mojej mamy. Razem z teściową. Bo szwagier mieszka w tej samej wsi. Tutaj była rodzina, a my ciągnęliśmy do miasta.

Stefania: Bliżej miasta, żeby mieć trochę więcej tej kultury innej. Nie tej czysto wiejskiej. Inaczej trochę chcieliśmy patrzeć na świat.

Lilla: Specyfika Krzywca to właśnie to jest to. Ponieważ wieś typowo poniemiecka, więc bardzo dużo osób tutaj po wojnie przybyło z różnych stron, np. z terenów na wschód od Buga. My tutaj nie jesteśmy rdzennymi mieszkańcami. Rdzenni mieszkańcy to byli Niemcy, którzy zniknęli z Krzywca po wojnie.

Z jednej strony mieszkańcy Krzywca, żyjąc w poniemieckim krajobrazie, „oddychają powietrzem postpamięci”. Z jego przedwojennymi gospodarzami minęli się w czasie, nie pamiętają ich, ale życie „na poniemieckim” to codzienne doświadczanie śladów, jakie odcisnęli w krajobrazie kulturowym Krzywca. To poczucie zobowiązania do współodczuwania z nimi i zarazem zadośćuczynienia. Monika Sznajderman w Pustym lesie – w kontekście wysiedlenia z Beskidu Niskiego Łemków w ramach akcji „Wisła” – pisze: „Dlatego staram się przywrócić krajobrazowi przeszłość, a jego twórcom – imiona i nazwiska, choćby niektóre, choćby kilka, tyle, ile zdołam. Przynajmniej do pewnego stopnia przestaną być bezimienną, bezosobową siłą, która przez stulecia wypalała i karczowała, orała i siała, sadziła i zbierała” (Sznajderman, 2019, s. 32). Z drugiej strony, powojenni mieszkańcy Krzywca wzięli w opiekę krajobraz poniemieckiej wsi; żyjąc w nim, wydeptują własne ślady obok śladów przedwojennych gospodarzy tego miejsca. Zmieniają Krzywiec, ich biografie i style życia wpływają na specyfikę tej wsi. Tom Ingold, brytyjski antropolog społeczny, twierdzi, że „ponieważ żyjemy w krajobrazie, staje się on częścią nas, tak jak my jesteśmy częścią niego” (Ingold, 2018, s. 249). Jak żyje się we wsi o takiej historii? Jak wrastaliście w to miejsce jako przybysze, bez zakorzenienia w Krzywcu?

Lilla: W Krzywcu spotkali się ludzie z różnych stron, ale nie było z tym problemu, ponieważ łączyło nas rolnictwo. Mało kto gdzieś tam pracował. Ludzie mieli wspólne tematy.

Stefania: Trzymaliśmy się razem. Jedno drugiemu pomagało. Ja miałam konia, a sąsiad nie miał. Później kupiliśmy ciągnik, to już było więcej chętnych. I to tak jeden z drugim łączył się. W zgodzie tutaj żyliśmy.

A jak wyglądało to gospodarstwo? Czy coś zachowało się po przedwojennych mieszkańcach?

Stefania: Dom był drewniany, na jaskółczy ogon. Była stodoła z gliny, ale ją rozebrali ci właściciele przed nami i postawili nową ze szlaki. Rozwijaliśmy się coraz to wyżej. Wodę na wsi założyliśmy jako drudzy. Zrobiliśmy łazienkę, to byliśmy drudzy na wsi.

Lilla: Przede wszystkim podstawa była taka, że skończyła się woda w studniach. Studnie były płytkie. Ostatnie pół roku przed założeniem wodociągu przywozili nam wodę w beczkach. Woda bardzo szybko znikała. Jak się ludzie zaczęli tutaj pojawiać, no to te stare melioracje, które były,

zostały przerwane. Więc to się zmieniło pod wpływem rozwoju demograficznego Krzywca. A tutaj był teren taki podmokły, chociaż piąta i szósta klasa ziemi. Wiadomo, że klimat też swoje zrobił. My, jako trzecia wieś w województwie łódzkim na ten czas, jak dobrze pamiętam, zdobyliśmy takie trzy najważniejsze rzeczy. Rozciągnęliśmy sobie wodę, gaz i zrobiliśmy przydomowe oczyszczalnie ścieków. To wszystko działa do tej pory.

Adam: Nasz dom jest jednym z najstarszych w Krzywcu albo nawet i najstarszy we wsi, bo widnieje na mapie z 1843 r. Dwa miesiące temu widziałem klon tego domu. Byłem za Kwiatkowicami i szedłem sobie przez wieś, gdzie stał dom identyczny jak nasz, ten sam rozkład pomieszczeń, okna w tym samym miejscu, jakby ten sam.

Stefania: Okna były małe, to my wymieniliśmy je na duże. Nie było ganku, to dobudowaliśmy go. Prosto się wchodziło. Tutaj jest u mnie ten korytarzyk i ta łazienka, a był taki jeden korytarz i nie było łazienki. Tam właściciele kartofle gotowali dla świń. Po tamtej stronie korytarza był pokój, po drugiej była kuchnia, jak teraz, i z niej jeszcze jeden pokój. Rozkład pomieszczeń jest identyczny.

Lilla: Bardzo dużo takich domów było, z sienią pośrodku, dopiero inne pomieszczenia rozchodziły się na boki. Dzisiaj takich domów zostało tylko parę.

Stefania: Ten postavili Niemcy. Nasza wieś była cała niemiecka.

Adam: To jest przedwojenny ponemiecki dom. Za domem był kawałek dobrej ziemi, był ogródek warzywny. I siostra kiedyś wykopała swastykę, którą zachowałem. Taka z czapki, z munduru, odlew aluminiowy. Więc tutaj rezydowali Niemcy.

Adam: Pamiętam, że dwa razy przyjechali do nas byli właściciele tego gospodarstwa, to znaczy ich dzieci i wnuki. Przyjechali tak tylko zobaczyć ten dom. To była pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych. Przyjechały dzieci, które jeszcze pamiętały to miejsce. Widać było, że oni to pamiętają, okres dzieciństwa, to było widać na ich twarzach. Oni przyjechali do Polski na urlop i odwiedzić swoje stare miejsce.

Jest to popularny motyw literatury. Na przykład Wróżby kumaka (Grass, 1992) czy Dom dzienny, dom nocny (Tokarczuk, 1998) przedstawiają motyw nostalgicznych przyjazdów Niemców do miejsc, w których się wychowali, a które leżą w granicach współczesnej Polski. Jednak tam problem ten dotyczy Gdańska, Kotliny Kłodzkiej i innych terenów na zachodzie i północy, które po 1945 r.

znalazły się w granicach nowej Polski. W ogóle ponemieckość to kategoria zawłaszczona geograficznie dla tzw. Ziemi Odzyskanych, podczas gdy dotyczy także doświadczenia mieszkańców Polski centralnej, w tym Krzywca (Latocha, 2021). A nie było na wsi obawy przed Niemcami, którzy odwiedzali Krzywiec i swoje przedwojenne gospodarstwa?

Stefania: Nie. Tylko tutaj sąsiad mówił, bo tak było, leżał wielki kamień na polu, po tamtej stronie, niedaleko drogi. U tego sąsiada wielki kamień. To mówił, jak Niemcy byli tutaj w odwiedziny, to na drugi dzień wokół tego kamienia była rozkopana ziemia. No i poszedł zobaczyć, a tam garnek był. Coś schowali przed ucieczką. Widocznie schowali swoje złoto, czy coś. Niemcy mieli na każdej swojej wsi cmentarz. Tutaj, w Krzywcu, też jest ponemiecki cmentarz.

Lilla: Ale jaki cmentarz? Cmentarza nie ma, jest ruina, tam nie ma nic.

Adam: Do lat dziewięćdziesiątych można było wejść na ten cmentarz. Były groby czytelne. A później się okazało, że to jest na terenie prywatnym, właściciel ogrodził cmentarz siatką. Cmentarz jest na prostokątnym wzniesieniu terenu, nie jest to naturalna górka, wyróżnia się.

Stefania: Były w Krzywcu małżeństwa mieszane, że ona była Polką, on był Niemcem, albo odwrotnie. Była taka Niemka, to było chyba już drugie pokolenie czy trzecie, która za Polaka wyszła, no to już została tutaj, w Krzywcu, po wojnie. Jej dziadkowie tutaj się osiedlili jako pierwsi. Były wielkie olszyny na takich bagnach, a oni wykarczowali te drzewa i wybudowali sobie z nich domy. Pani Joanna Różycka, z domu Modro, całe życie tutaj spędziła, a na stare lata wyprowadziła się do Niemiec. Tutaj nam najwięcej o tych Niemcach to ona opowiadała, bo ona się tutaj urodziła, wychowała i przychodziła mojego syna pilnować, jak była praca w polu.

„Mogę tu mieszkać, bo ich wszystkich nie ma. Wyjechali. Zostawili po sobie pustkę, a w niej wspomnienia i porzucone rzeczy, zostawili krajobraz, który przez lata tworzyli. Przecież to oni zawsze tu żyli, nie ja. [...] Spóźniony gość w cudzym świecie, przybysz z daleka urządzający się na nie swoim. [...] Pamięć o moich zmarłych sąsiadach, tych, którzy leżą u stóp cerkwi i trochę dalej, na słonecznym zbocz, zniszczyła historia – zmiotła żywych ludzi z miejsca, w którym żyli, i rozrzuciła ich po świecie. [...] Więc rzeczy – wehikuły pamięci – zinwentaryzowane i zabezpieczone, trafią do nowych właścicieli albo

rozpadną się tu, na miejscu, każda inaczej, zależnie od materii, z której ją stworzono” (Sznajderman, 2019, s. 33, 34, 76, 192). Tak Monika Sznajderman pisze o polemzkowskim dziedzictwie Wołowca, do którego przeprowadziła się z Warszawy, i o sobie wobec rzeczy i krajobrazu, z którego zniknęli przedwojenni gospodarze. A co dzisiaj dzieje się z poniemiecką spuścizną w Krzywcu? Jaki jest jej los? Jak mieszkańcy Krzywca traktują to dziedzictwo?

Lilla: Myślę, że nowa społeczność nie jest tym dziedzictwem zainteresowana, a nie wiem, czy mentalnie pokolenie ludzi pamiętających wojnę jest w stanie to udźwignąć. My jakby nie mamy złych doświadczeń, ale my tu się przeprowadziliśmy w inny sposób, po prostu nie musieliśmy tego przejmować siłą. Ale to mimo wszystko tak nie powinno wyglądać, że z tego cmentarza zostały ruiny. Nam powinno zależeć, mieszkańcom, żebyśmy to wyeksponowali, zrobili coś z tym, bo to jest część naszej historii. I to jest chyba najważniejsze. Powinniśmy, bo jak nie znajdują się jakieś osoby, które będą o to dbać, interesować się tym, to nie zostaniemy w tej tożsamości, bo najwygodniej jest postawić dom i nie interesować się tym, co się dzieje za moją bramą. Bo to wtedy my tracimy jakieś cechy wspólne, które powodują, że jesteśmy całością.

Adam: Interesuję się historią, zwłaszcza taką lokalną. Mieszkam w Konstantynowie Łódzkim, historię jego znam, różne takie ciekawostki, zwłaszcza historyczne. Stawki zawsze były takie ciekawe, czyli wieś, której nie ma. Bardzo blisko Krzywca, właściwie była to część Krzywca, taka kolonia. Jest tylko pozostałość tego sadu, który tam był. Powojenny las zagłuszył wyrazistość tego sadu, ale na jabłka tam chodziłem. To jest super odkrywać pozostałości tej wsi, polanę w lesie, stare drzewa owocowe, zarośnięte fundamenty domów, których nie ma, inna szata roślinna, widać, że kiedyś toczyło się tam życie. Stawki były zamieszkane przez Niemców, dlatego nie zostały spalone i w tych domach poniemieckich po wojnie osiedlili się Polacy. Po tych Stawkach sobie spacerujemy, czasami nowi, napływowi mieszkańcy chodzą na spacer z swoimi psami, ale niewiele osób ma świadomość tego dziedzictwa. Legenda głosi, że kiedyś tam było morderstwo w tych Stawkach i ten ktoś leży na cmentarzu w Kazimierzu. Jakiś czas po wojnie Stawki zalesiono, bo to są piachy, ale jak się idzie tym lasem, to widać, że są stare drzewa w liniach, więc to są ślady po przedwojennych gospodarstwach. Tu jest historia na wyciągnięcie ręki. Nawet kiedyś chciałem wydrukować takie kartki A4

i pinezkami przybić na drzewach, że tutaj coś takiego było. To zawsze moim wewnętrznym marzeniem było, żeby w jakiś sposób chociaż te Stawki, które są ciekawostką jak na Krzywiec, jakoś wyeksponować, zaznaczyć.

Do Krzywca po wojnie przybyli nowi mieszkańcy falami. Najpierw repatrianci i inni, którzy zajęli poniemieckie gospodarstwa, potem ludzie, którzy odkupili je, a trzecia fala to przełom XX i XXI w. Czy wielokulturowość Krzywca nie obchodziła i nie obchodzi mieszkańców fali pierwszej, drugiej i trzeciej? Czy są między nimi jakieś różnice w stosunku do tego dziedzictwa i tożsamości?

Adam: Po drugiej stronie ulicy było pole moich rodziców, ale zostało podzielone na działki. I tak w Krzywcu pojawili się przybysze kolejnej fali.

Stefania: Rolnictwo upadło, a pojawili się chętni na działki. Chłopi chcieli żyć lepiej, więc sprzedawali ziemię.

Lilla: Gospodarze z Krzywca zaczęli sprzedawać ziemię, tworzą się takie enklawy, mamy przynajmniej teraz cztery duże osiedla w Krzywcu. I tak wieś zaczęła się bardzo zmieniać.

Adam: Między nami a sąsiadami było źródło wody, więc tata Leszek wykopał tam niewielki staw. Woda w nim była brudna, wręcz czarna z uwagi na ciągle spadające do niej liście z olszyn. Dno było bardzo muliste. Kiedyś do niego weszła krowa, aby się napić, ugrzęzła w dnie i razem z ojcem musieliśmy ją wyciągać, bo sama na pewno nie dałaby rady. Po latach źródło trochę wyschło, woda w stawie prawie zniknęła. Przez kolejne lata był zasypywany. Później działka została sprzedana. Nowi właściciele postanowili centralnie w miejscu byłego stawu wybudować dom. Zrobiono wykopy pod fundamenty i od razu wypełniły się wodą. Aby dom mógł powstać zgodnie ze sztuką, podjęto decyzję o wybraniu całej ziemi i wylano betonową płytę. Musiał też powstać drenaż tego miejsca. Wykopano rów aż do samej Lubczyny, położono rurę, aby odprowadzać wodę spod domu. I tak dzień i noc woda z tej rury a to kapie, a to leci ciurkiem. Sama Lubczyna też była dla nas atrakcją. Jako dzieci bawiliśmy się w jej przeskakiwanie, no i nieraz zamoczyło się but. Kiedyś biegła ona w innym miejscu, miała zakole przy drodze prowadzącej do Rszewa i mostek na niej znajdował się bliżej lasu. Widać to wyraźnie na przedwojennej mapie, ale stare koryto też trochę widać do dziś. Na polu rodziców między starym a nowym korytem w zagłębieniu powstała piękna łąka. Jednego roku to chyba ze cztery razy

ją kosiliśmy. Killakrotnie rzeka wylewała i cała łąka była pokryta wodą. To było naprawdę malownicze miejsce. Do dziś jest tam spory spadek terenu, ale nie tak duży jak jeszcze 20 lat temu. Pamiętam, jak w latach dziewięćdziesiątych z nurtem Lubczyny płynęły plastikowe kuleczki rozmiarem zbliżonym do pingpongowych. Pochodziły z pobliskiej farbiarni. Było ich tysiące. Dziś można w niej spotkać bobry, które podgryzają pobliskie drzewa. Gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy robiliśmy wykopy pod fundamenty sklepu, pod jego frontową ścianą natknęliśmy się na niezwykle twardą ziemię. Zdziwiłem się, bo gdzie indziej ziemia była miękka. Wtedy starszy pan z sąsiedniej wsi, który nam pomagał, powiedział, że kiedyś w tym miejscu szła stara droga przez Krzywiec. Byłem tym mocno zdziwiony, ale miało to sens, bo na starych mapach widać, że rzeczywiście szła w innym miejscu. Okazało się, że gdzieś w drugiej połowie wieku XX, prawdopodobnie podczas kładzenia asfaltu, postanowiono zmniejszyć łuk drogi, przesuwając ją o kilkanaście metrów na północ. Niemniej między sklepem a drogą prowadzącą na Rszew nadal pozostawał wyraźny ślad starego przebiegu oraz dwa rzędy olszyn, ale dziś nic już nie jest widoczne. Drzewa zostały wycięte, a stara droga zasypana ziemią.

Stefania: U nas była trójka dzieci, ziemia nie za dobra, więc chcieliśmy mieć coraz lepiej. Akurat weszły w modę działki, ludzie z miasta kupowali działki rekreacyjne. I my sprzedaliśmy chyba z pięć tych działek. No i później coraz to więcej tych chętnych przyjeżdżało, no to sprzedawaliśmy. Dzieci dorastały, więc trzeba było im trochę pomóc. To była końcówka lat dziewięćdziesiątych. Po sprzedaży tych działek założyłam tutaj sklep, a nazwa tego sklepu „Pod Olchą”.

Czyli odwołaliście się do lokalnego dziedzictwa. Olchy to pierwotny krajobraz Krzywca, który osadnicy niemieccy przekształcili w wieś. Nazwa sklepu nawiązywała do tożsamości tego miejsca.

Stefania: Zaczęłam handlować warzywami, stałam na drodze i sprzedawałam, bo ludzie już zaczęli jeździć na te działki do Krzywca i Babiczek. Potem był taki kiosk, a potem prawdziwy sklep.

Lilla: Sklep prowadziliśmy z drugim bratem i bawiliśmy się tak 23 lata. Ważne było to, że zaczynaliśmy od tych warzyw, robiliśmy własne sery, własne masło, były jajka, wędlina, którą sami robiliśmy.

Adam: Krzywiec przez lata był wsią, przyjezdni masowo pojawili się w sumie niedawno. Pamiętam, że przy samej ulicy mieliśmy żwir na budowę garażu, a ja tam miałem piaskownicę dosłownie dwa metry od ulicy. Mama mnie tam zostawiała i ja cały dzień tam siedziałem i się bawiłem, bo ruch był nieduży. Wszyscy się tutaj znali ci rolnicy, może nie przesiadywaliśmy u siebie i się nie gościliśmy, ale każdy się znał z imienia i nazwiska.

Lilla: To też jest ważne, ta wspólnota. Były gospodarstwa, były wspólne tematy, wspólne problemy. Połączyło nas to, że każdy przyszedł z innego miejsca i to właśnie u nas, w Krzywcu, było takie specyficzne. W większości domów była dwójka, trójka dzieci, one się bawiły, my chodziliśmy do siebie, ja znałam z końca ludzi, wieś była nie za duża, to też nas łączyło.

Współcześnie, przy tej liczbie mieszkańców Krzywca jest to niemożliwe?

Lilla: To nie chodzi o liczbę, chodzi o mentalność i o to, że już prawie nikt się rolnictwem nie zajmuje. Od kiedy pamiętam, udzielam się społecznie, zresztą robi to też nasz brat, jest sołtysem u siebie w Rąbieniu. Myślę, że bardzo zamieniliśmy nasze miejsce, naszą świetlicę. Koło Gospodyń Wiejskich w Krzywcu w latach dwutysięcznych się wykruszyło, stan świetlicy był opłakany, ale mieliśmy takiego sołtysa, pana Powalskiego, rolnik, ale jednak z wykształceniem. Z innymi osobami udało się to wyremontować. Nowe kobiety weszły do Koła, masą pracy i chęci z tymi osobami naprawdę dużo zrobiliśmy, ale skład Koła to tak naprawdę nie rolniczki, one zaczęły się wycofywać z uwagi na to, że wchodziły nowe kobiety, które chciały działać i to działanie trochę inaczej wyglądało niż u rolniczek. Uważam, że to było bardzo dobre, dlatego że zupełnie się perspektywa zmienia, ludzie mają różne poglądy, pomysły, wykształcenie. Zaczęliśmy robić więcej otwartych rzeczy. I też świadomość, że można coś robić, działać. A teraz jest tak, że ponieważ jest taka masa ludzi i ta mentalność jest taka, jest tak ciężko zainteresować ludzi czymkolwiek, każdy żyje w swoim zamkniętym świecie. Oni nie są zainteresowani tworzeniem tożsamości tutaj. Odpoczywają, relaksują się. Nie angażują się w lokalne sprawy. No to zachwycają się lasem, a nie historią. Nie chcą tworzyć tożsamości.



Wieniec dożynkowy przed budynkiem starej szkoły w Krzywcu, 2023.
Fot. D. Łarionow

Mieczysław Okupski, Adam Pstrokoński

KIEDYŚ TU LUDZIE RODZILI SIĘ I UMIERALI, PRACOWALI I ŻYLI

ROZMOWA

Jak rodzina Okupskich znalazła się w Krzywcu?

Moi rodzice pochodzili z sąsiedniego Rąbinka, mieszkali tam, gdzie od lat jest sklep. Była to wieś polska i w 1940 r. została spacyfikowana, gospodarstwa spalone, a mieszkańcy wywiezieni do prac przymusowych. Też tak było i z moimi rodzicami. Trafili w okolice Lubartowa pod Lublinem i byli tam aż do końca wojny. Po wojnie powrócili w rodzinne strony, ale nie mieli gdzie mieszkać, bo ich dom był spalony. Nowe władze przydzieliły im jeden z poniemieckich domów na Stawkach. Tutaj trzeba podkreślić, że Stawki przed wojną i jeszcze po niej były całkowicie osobną wsią, nie stanowiły części Krzywca, jak to jest obecnie. Nawet w dowodzie osobistym jako miejsce urodzenia widnieją Stawki.

Co się stało z tą miejscowością?

W latach pięćdziesiątych zapadła odgórna decyzja, że ziemie szóstej klasy mają być zalesione, a Stawki to zwykłe piachy. Pamiętam, że zanim nas wysiedlono, to z siostrą i rodzicami sadziliśmy część tego lasu. Rodzice robili dołek, a my wkładaliśmy sadzonki i zasypywaliśmy je. Dziś jest taki dukt, taka ścieżka między nowym osiedlem domów a polaną w lesie, to była droga, wzdłuż której sadziliśmy po dwa rzędy brzoź po każdej stronie, a dalej sosny. Do dziś je widać.

Co się stało z zabudowaniami?

Zostały rozebrane i w częściach powędrowały do Rąbinka, ale jeden dom został przeniesiony przed sam cmentarz w Krzywcu i stoi tam do dziś,

ale niedługo ulegnie zawaleniu. Do dziś z łatwością można odnaleźć miejsca po zabudowaniach Stawek, w kilku miejscach są tam podłużne doły, występują skupiska przedwojennych ogromnych drzew. Pozostałości sadu owocowego też się znajdują.

Jak tam wyglądało życie?

Jedni pracowali na roli, drudzy nie byli aż tak pracowici, co doprowadziło do morderstwa. To był rok 1957, miałem wtedy 12 lat, byłem nawet na tym pogrzebie w Kazimierzu, gdzie grób jest do dziś. Relacje między kilkoma najbliższymi sąsiadami były napięte, problemy się nawarstwiały, w końcu słowa zamieniły się w czyny, w ruch poszła siekiera. Nie brakowało też rannych, jednemu to nawet musieli wstawić blaszkę w głowę. Ale działały się tam i normalne rzeczy. Jeden z sąsiadów, co się Gryć nazywał, choć rolnik, to okazjonalnie strzygł. Chodziłem do niego, a później jak w połowie lat pięćdziesiątych kupił dom w Krzywcu, przy którym teraz jest sklep, to chodziłem tam.

Historia wsi Stawki zatoczyła koło. Wykarczowane w połowie XIX w., po około stu latach znów porastają drzewami. Przed wykarczowaniem bezimienne, po zalesieniu jakby też, bo wchłonięte przez Krzywiec. Tylko stare mapy o nich szepczą, jak i doły po budynkach rozsiane między drzewami. Kiedyś tu ludzie rodzili się i umierali, pracowali i żyli.



Przyroda w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król

Piotr Daranowski

KRZYWIEC. KONTYNUACJA RODZINNYCH WYBORÓW MIEJSCA ZAMIESZKANIA I EMOCJONALNYCH Z NIM ZWIĄZKÓW

Mnie, Piotrowi Wawrzyńcowi Daranowskiemu, zasugerowano w kręgu znajomych, w 1997 r., możliwość zakupienia działki w Krzywcu, jako formuły zabezpieczenia kilku „zaoszczędzonych” w tamtej dobie „groszy”. Pozytywna decyzja sprawiła, że dokonałem transakcji i znalazłem się po jej zakupie na działce o powierzchni 1842 m², w szczerym, niezwykle malowniczym polu – obecnie to ul. Wesola 2. W kolejnych latach (1997–2001) sporadycznie bywałem na działce, jedynie by móc powtórzyć, sobie lub bliźnim, za Władysławem Reymontem, słowa Boryny: „To moja ziemia”.

Na co dzień zaś skłonny byłem powtarzać, od 1967 r., kiedy przyjechałem do Łodzi na studia, że będę łodzianinem, a potem kiedy podjąłem pracę na Uniwersytecie Łódzkim, że będę czuć „ciałem i duszą”, że jestem w pełni łodzianinem, mieszkańcem miasta Łódź. Nie było to trudne nie tylko za sprawą studiów i wykonywanej później pracy, ale także dlatego, że zarówno moja mama, jak i jej przodkowie, tj. ojciec i dziadek, byli związani z Łodzią. I dlatego w istocie się w Łodzi znalazłem, i mogłem liczyć na początku studiów na wsparcie łódzkich krewnych mojej mamy.

Skalę mego fizycznego i emocjonalnego związku z Łodzią potęgowały na linii czasu ze szczególną siłą dwie okoliczności.

Pierwszą był dom mojego pradziadka, Wawrzyńca Maurera. Dom to tzw. Willa Maurerów, którą ulokowano w dobie powstania (tj. w roku 1913), na ulicy ... Maurera (*sic!*). W tamtym czasie willa położona była na obszarach Żabiańca – słabo zaludnionej wsi. Formalnie wieś należała do gminy Radogoszcz. Przyłączono Radogoszcz, w tym Żabieniec, do miasta Łodzi w roku 1915. Według spisu ludności z lat 1916–1920 Wawrzyniec Maurer mieszkał już z rodziną przy ul. Żabieniec nr 6. Definitywnie przestrzeń powiatu Radogoszcz, w tym przestrzeń Żabiańca, została włączona, już „po polsku”, 13 lutego 1946 r. w obręb miasta Łodzi.

Willa została odebrana rodzinie – znacjonalizowana wraz z otaczającym ją parkiem w 1958 r. Obecnie gmach willi położony jest przy al. Włókniarzy 151. Była przez jakiś czas restauracją, teraz jest opuszczona, pusta i zaniehbana.

Drugą zaś był fakt organizowania w Willi Maurerów w latach 1940–1945 miejsca spotkań/zebrań Dowództwa Armii Krajowej na Okręg Łódzki.

W głębokim tle moich emocji związanych z ww. dwiema okolicznościami pozostawała śladowa wiedza o miejscu osiedlenia się przodków mojego pradziadka, którzy przybyli, jak mi mówiono, z Hesji „pod Łódź” na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych XIX w. Na linii czasu mojego łódzkiego już bytowania mówiono sporadycznie w rodzinie, że miejscem tym były Babice, ale nie próbowałem ani kartograficznie, ani też fizycznie Babic „odnaleźć”.

Tę perspektywę zmieniło samodzielne poszukiwanie źródeł narodzin Krzywca, w jakim zamieszkałem (5 grudnia 2002 r.), i chęć poznania „pie szo”, „spacerowo” mojej domowej, krzywieckiej okolicy, w tym, co stało się oczywiste, Babic.

Narodziny Krzywca, jak ustaliłem w toku wspomnianych poszukiwań, to gospodarowanie odziedziczoną ziemią przez Mikołaja Krzywca-Okołowicza herbu Ostoja (notabene także posła na sejm Królestwa Polskiego). Na swojej ziemi osiedlał on migrantów, także wywodzących się z Hesji, podpisując z nimi umowy sprzedaży lub dzierżawy gruntu. Kiedy próbowałem ustalić, czy moja rodzina Maurerów osiedliła się na ziemi Krzywca-Okołowicza, okazało się, że ziemia wsi Babice nie była jego własnością, lecz Królestwa Polskiego. Świadczy o tym odkryta przeze mnie regulacja prawna tamtej doby.

Władze Królestwa w tym rejonie również sprzedawały lub oddawały w dzierżawę – na podstawie stosownych umów z zainteresowanymi – państwowe grunty. Wiele zatem wskazuje, że rodzina Maurerów przybywająca z miasta Hackenheim w Hesji (w latach 1837–1841) na polskie ziemie tą drogą ustabilizowała i osiągnęła swój emigracyjny cel.

Zamieszkując w Krzywcu, nawiązałem, za sprawą „odnalezienia” Babic, zatem nie tylko rodowo, ale i bardzo emocjonalnie, do historii rodziny Maurerów.

Szczególną przyczyną dalszych emocjonalnych związków rodzinnych z przestrzenią, w której mieszkam, było nie tylko dostrzeżenie w Babicach

domów zamieszkałych przez osoby noszące nazwisko Maurer, krewnych, ale także miejsca pochówku Heinricha Maurera. To najstarszy (urodzony w 1819 r., a zmarły w 1899 r.) z kręgu pięciorga rodzeństwa, przybyłych z rodzicami do Babic, główny kreator mojego rodzinnego wątku, ojciec Wawrzyńca, mój prapradziadek. Jego miejsce spoczynku, grób na cmentarzu w pobliskim Kazimierzu, jest co do formy zabytkiem historycznym, a dla mnie prywatnie – odnalezionym miejscem szczególnego wzruszenia.

Mieszkając w Krzywcu, odnalazłem głębię rodzinnych emocji, nieoczekiwaną radość wielopokoleniowych związków rodzinnych.

Drogi Krzywcu, dzięki!



Obchody 100-lecia zakończenia I wojny światowej w Krzywcu.
Od lewej: Piotr Daranowski, Ewa Daranowska, NN, Mariusz Pryc,
Lilla Kacprzak, 2018. Fot. D. Łarionow



Stary dom w Krzywcu – stan przed rozbiórką. Fot. I. Powalska

Mariusz Pryc

KRZYWIEC – MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

Moje pierwsze wspomnienia dotyczą pieszej wędrówki od tramwaju do domu dziadków. Szło się najpierw drogą, która w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku była pokryta tzw. szlaką. Kilka razy jako mały chłopiec przewróciłem się, a drobinki tych odpadów, zapewne hutniczych, bezlitośnie wbijały się w kolana czy łokcie. Przystanek linii 43 z Łodzi do Lutomska był przy obecnej ul. Klonowej, wiodącej m.in. do Żabiczek. Dalej wchodziło się w las, a za nim były już pola i rodzinne gospodarstwo rodziców mojej mamy.

Krzywiec stał się dla mnie bajkową krainą dzieciństwa i przez długie lata pozostał osobnym światem, do którego wracaliśmy w weekendy, wakacje, wszystkie święta i ferie. To było miejsce z innego czasu i przestrzeni, istniejące poza realnością małego mieszkania w bloku z wielkiej płyty na łódzkim Widzewie. Natomiast dla mojej mamy to była rodzinna wieś, gdzie dorastała, chodziła do szkoły, przeżywała swoje pierwsze miłości. Nasze rodzinne wędrówki przypadły na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XX w. czyli epokę gierkowską i kryzys schyłku PRL.

Dzieci przyjmują rzeczywistość taką, jaka jest, i nie oceniają niczego. Fakt, że u babci codziennie wodę trzeba było nosić wiadrami ze studni czy palić w piecu, był tak samo dla mnie normalny jak ciepła woda w kranie w mieście. Na wsi z pewnością najbardziej bałem się toalety. To były dwa osobne murowane pomieszczenia, dostawione do obory, usytuowane nad ogromnym szambem. Były zawsze wybielone. W środku leżał mały stosik starych pociętych gazet. Dziura w desce dawała wgląd w istne czeluści, prawie piekielne. Siadałem delikatnie na brzegu i modliłem się, by nie wpaść do środka. Otchłań przypominała o sobie, bo od spodu zawsze wiało chłodem i smrodem. W czasie wakacji w miarę zapełniania się szamba głębia stawała się mniejsza; nie zmieniło do faktu, że wciąż straszyla. Wrzucaliśmy tam podpalone gazety, żeby zobaczyć, co jest w środku – niewiele to pomagało. Dorosli się chwalili, że tak sobie ogrzewają deskę w zimne dni.

Próbowałem, nic to nie dawało. Gazety były tam obecne do późnych lat dziewięćdziesiątych, czyli do końca użytkowania tych swoistych przybytków mądrości. Wtedy też koegzystowały z papierem toaletowym, który mimo o niebo większej delikatności jednak nie nadawał się do czytania. Pod koniec XX w. zamieszkująca domostwo dziadków rodzina brata mojej mamy przeprowadziła się do nowego domu zbudowanego na terenie posesji od strony drogi. Tym samym stare kibelki definitywnie wyszły z użycia. Poza tym, mając elegancki sedes i kanalizację, nie można było już używać gazet. No i bezpowrotnie straciliśmy potrzebę kupowania papierowej prasy codziennej.

Z tym szambem wiąże się pewna rodzinna historia. Do babci przyjechała kiedyś jej bratanica, dla mnie znana jako ciocia Hania. Miała wtedy jakieś 20 lat. Była młoda, piękna, wystrojona i świeżo po tzw. słowie z chłopakiem. Przyjechała pokazać pierścioneł zaręczynowy. Moja mama – wtedy mała dziewczynka – wyprosiła od niej ten pierścioneł. Chciała trochę ponosić, ale niestety paluszki dziecka okazały się dużo mniejsze. Pierścioneł z łatwością zsunął się i wpadł w czeluści toalety. Był płacz, lament, a nawet krzyki, istna tragedia i wstyd. Dorośli starali się wymyślić, co zrobić, aby ten pierścioneł odzyskać. Motywacja była bardzo silna, chodziło nie tylko o szczęście bratanicy, ale były to późne lata czterdzieste, raczej nikomu się w gospodarstwie nie przelewało. Perspektywa odkupywania złotego drobiazgu była dość przerażająca dla wąskiego budżetu rodzinnego. A poza tym chodziło też o honor, bo po prostu córka gospodarza domu zgubiła w kiblu pierścioneł bratanicy. Co robić? Było kilka pomysłów: zejść na dół i wybrać wszystko. Szambo było pełne, czyli kilkadziesiąt tysięcy litrów. Rodzina postawiła na metodę nieco pośrednią, wybierano po troszeczkę, po czym przesiewano zawartość przez sitko. Z tego opowiadania mam ciągle przed oczami obraz kilku dorosłych schylonych nad wiadrem i wnikliwie analizujących ten „materiał zebrany”. Podobno osiągnęli sukces, pierścioneł udało się znaleźć. Musiało tak być naprawdę, bo nie ma rodzinnej legendy o nadal leżącym w szambie złotym skarbie.

Moi dziadkowie osiedlili się chyba w końcu stycznia lub na początku lutego w 1945 r., ponieważ już 23 lutego w domu w Krzywcu urodził się ich najmłodszy syn. Przed wojną mieszkali blisko, na wsi Rszewek, gdzie urodziła się moja mama i jej siostra. Tamtego starego gospodarstwa już nie ma, zostało połączone w czasie wojennej okupacji niemieckiej z sąsiednią

posesją. Wydarzeń z lat czterdziestych nie udało mi się nigdy poukładać chronologicznie. Pozostały tylko jakieś urywki wspomnień, głównie dziecinnych, mojej mamy, babcia nam niewiele opowiadała o tamtych czasach. Wiem, że gdy wybuchła wojna we wrześniu 1939 r., mój dziadek, czyli ojciec mamy, trafił na front. Był gdzieś pod Warszawą. W tym czasie moja babcia była w Rszewku z dwiema małymi córkami: roczną moją mamą i jej dwuletnią siostrą. Po kapitulacji dziadek w polskim mundurze wrócił do domu. Od razu został pobity przez Niemców, czyli też jego dawnych kolegów, którzy już dumnie chodzili po Konstantynowie Łódzkim. Zabrali mu mundur i cały ekwipunek. Następnego dnia po tym zajściu, ku przerażeniu swojej żony, dziadek poszedł do urzędu i kazał sobie wszystko oddać. Podobno mundur mu wtedy zwrócono, choć może to tylko legenda.

Nie wiem, dlaczego i kiedy dokładnie dziadek w czasie okupacji został zesłany na roboty do fabryki amunicji w Pionkach. Podejrzewam, że trafił tam z tzw. łapanek, spontanicznie zorganizowanej przez władze okupacyjne. Babcia została w Rszewku z dziećmi. Wtedy zapewne rozeszła się wieść, że resztę Polaków będą wywozić na roboty do Niemiec, by miejscowe gospodarstwa zasiedlić Niemcami. Wtedy babcia podjęła trudną, a nawet brawurową decyzję. Zostawiła starszą córkę u teściowej, razem ze swoim mocno starym już ojcem. Do tzw. bauera na roboty pojechała tylko z moją mamą. Przez wiele lat taki przebieg wydarzeń wojennych wydawał mi się rozsądny, bo przecież z jednym dzieckiem łatwiej, wszak drugie zostało bezpiecznie z dziadkami. Kiedy urodził się mój syn, zrozumiałem tragiczny wymiar tamtych problemów. Przez pierwsze lata życia mojego dziecka trudno mi było go zostawić u kogoś na pół dnia. A babcia musiała zostawić córkę i nie miała w ogóle żadnego kontaktu ani z dzieckiem, ani ze swoimi rodzicami.

Tymczasem teściowa mojej babci, a moja prababcia, znalazła dla siebie ochronne wyjście z trudnej wojennej sytuacji. Podpisała volkslistę. Być może stało się tak, gdyż jedna z jej córek jeszcze przed wojną wyszła za mąż za sąsiada, który był Niemcem. Chociaż może dzięki temu dostała po prostu lepsze kartki i uniknęła wysiedlenia, jak wielu jej sąsiadów. Jej mąż okazał się tylko pozornie słuszny, ponieważ jej najmłodszy syn, brat mojego dziadka, po osiągnięciu 16 lat dostał wezwanie do Wehrmachtu. Z niemiecką armią był pod Stalingradem, Odessą; z nimi uciekał później w stronę Berlina. Gdzieś pod drodze udało mu się z wojska zdezerterować.

Ale jego urodzony po wojnie syn jeszcze w szkole doświadczał szykan ze strony kolegów za niemiecko-żołnierskie losy swojego ojca.

Natomiast babcia z małą mamą została wysiedlona do gospodarstwa w Ostrowie Wielkopolskim, wtedy na terenie Rzeszy. Z tamtego czasu moja mama pamięta, że chodziła wśród ludzi siedzących w hali fabryki Karola Steinerta i braci Schweikertów w Konstantynowie Łódzkim i prosiła o „mięsko”. Był to obóz przejściowy dla ludności przesiedlanej, który był czynny w latach 1940–1943. Poczucie niezaspokojonego głodu pozostało z moją mamą już na całe życie, zresztą zawsze była trochę bardziej pulchna niż reszta jej rodzeństwa.

Dziadkowi udało się wymknąć z Pionek chyba na początku 1942 r. Za-przyjaźniony z nim lekarz postawił fałszywą diagnozę, stwierdzając, że jest chory na gruźlicę. Pozwolono mu wrócić do rodziny. I już w grudniu tego roku babcia urodziła trzecie dziecko, syna. Znalazłem kiedyś zdjęcie dziadka z tego okresu. Musiał być bardzo wyczerpany, bo wyglądał jakby miał 50 lat. Szybko obliczyłem, że naprawdę miał 35, może 37 lat. Babcia była od niego ponad 10 lat młodsza.

Nie wiem, dlaczego w 1945 r. dziadkowie wybrali Krzywiec i gospodarstwo Turschów. Zapewne znali ich jeszcze sprzed wojny. Babcia wspominała wielokrotnie imiona właścicieli i ich dzieci. Zaraz po zajęciu gospodarstwa dziadek ściął ogromne dęby, które rosły przy domu. Zrobił z nich krzyż i postawił przy wjeździe z głównej drogi w stronę zabudowań posesji wraz z małą kapliczką Chrystusową. Z reszty drewna ufundował ogromne drewniane krzyże na cmentarz przykościelny w Konstantynowie Łódzkim. W Krzywcu drewniany krzyż służył wiele lat jako drogowskaz. Mówiło się, że przy krzyżu w lewo i dojedziesz do gospodarstwa. Przy nim też odprawiano nabożeństwa majowe. W latach siedemdziesiątych zamieniono go na metalowy, pomalowany na liliowy róż z białymi końcówkami. Wyglądało to trochę dziwnie. Babcia prowadziła dookoła mikroogródek, którym później zajmowała się jej synowa, żona najmłodszego z braci mojej mamy. Po zbudowaniu kościoła parafialnego w Rąbieniu proboszcz ks. Andrzej Mikołajczyk postanowił zamienić krzyż na kapliczkę Matki Boskiej. Rodzina Tomaszewskich, która od lat prowadzi zakład kamieniarski w Krzywcu, dała płyty granitowe i wykonała całą budowlę. Teraz stoi przy drodze, nadal stanowi punkt orientacyjny dla nowych mieszkańców, ale w naszej rodzinie zniknął sentyment, który mieliśmy do dziadkowego krzyża. Jego spon-

taniczny powojenny gest miał charakter dziękczynny za ocalenie z pożogi wojennej całej rodziny. On przeżył, jego żona i wszystkie dzieci, których było czworo. Wiele rodzin nie miało tyle szczęścia.

Niby gospodarstwo w Krzywcu było duże, ale dobrej ziemi nie było wiele. Dom i wszystkie pomieszczenia gospodarcze były przeznaczone dla ok. 10–12 krów i paru świń, kur oraz królików. Dla mnie, małego chłopca, to był cudowny świat. Dorastałem trzy dekady po wojnie. Dla rodziny był to szczególny okres.



Kapliczka w Krzywcu, 2025. Fot. I. Powalska

Dziadek był mocno schorowany, leżał głównie w łóżku. Na gospodarstwie z całego rodzeństwa został tylko ich najmłodszy syn. Reszta dzieci wykształciła się i osiadła w Łodzi, we Wrocławiu i w Gdańsku. Latem do babci przyjeżdżały wszystkie wnuczeta, a moi kuzyni i kuzynki. Spędzaliśmy wakacje razem, trochę pomagając w obejściu, głównie jednak myszkując po różnych zakamarkach i wygrzebując relikty przeszłości. Do dzisiaj jestem pełen podziwu i nieukrywanej wdzięczności dla wujostwa za cierpliwość oraz wyrozumiałość. Dyskretnie udawali, że nie wiedzą, że dzieci włączą na drzewa, bawią się siekierą w rąbanie drewna lub rzucają widłami do celu. Na traktor wsiadłem w wieku chyba 12 lat, czyli jak tylko mogłem wcisnąć sprzęgło. To był C330, zwany przez wszystkich pieszczotliwie Ciapkiem. Ojciec wytłumaczył mi, jak działają biegi i hamulec, a potem padła komenda: siadaj i jedź! Latem po prostu ktoś był potrzebny do podjeżdżania na polu. Dzieci nie miały tyle siły, by na widły nadziać i podrzucić słomę czy siano, więc od takiej pracy były odsunięte. Moją naukę jazdy przyspieszyło parę drastycznych uwag dorosłych, którzy denerwowali się, że ruszam za szybko. Do stodoły wujek wjeżdżał zwykle sam, ponieważ wrota były niewiele szersze od przyczepy. Krążyły opowieści, że niektórzy sąsiedzi zdołali przejechać stodołę na wylot przy pierwszych próbach traktora.

Pamiętki po poprzednich właścicielach gospodarstwa dziadków były wszędzie. Pamiętam naczynia fajansowe na napisami *Mehl* (mąka) lub *Zucker* (cukier), chociaż służyły do przechowywania innych produktów. Większość mebli też była polniecka. Wraz z upływem czasu wychodziły z użycia, były zastępowane przez inne, nowsze. Nadal stoi w kuchni mojego wujka drewniany stół z dwiema ogromnymi szufladami. Zawsze w jednej były dokumenty bieżące, głównie gospodarsko-hodowlane, jakieś nakazy podatku lub świadectwa szczepień itp. Druga była bardziej przyjazna dzieciom, tam trzymało się chleb i bułki. Czasami masło lub smalec, jak został z kolacji lub śniadania. Stół ma chyba ponad sto lat i wciąż jakoś się trzyma, mimo że ogromną maszynkę do mielenia mięsa na kiełbasy przybijano zawsze gwoździami bezpośrednio do blatu.

Najdziwniejszym urządzeniem pamiętającym poprzednich właścicieli było coś, co wuj wykorzystywał jako poidło dla owiec wystawiane w zagrodzie na zewnątrz. Przypominało trochę rzeźbę, jakby abstrakcyjną figurę w kształcie arabskiej cyfry osiem, ale z grubym brzuchem i małą głową. Ścianki z blachy sprawiały wrażenie podwójnych, a z boku był jakby piecyk

albo kociołek. Jako dziecko nie mogłem zrozumieć, co to właściwie jest, zadawałem pytania. W końcu wuj, męczony przez przyszłego studenta politechniki, odpowiedział: To jest wanna. No tak, ale po co owcom wanna? Cierpliwy wuj wytłumaczył, że to była stara wanna do kąpeli, do której wkładało się węgle, by utrzymywały ciepło, pomiędzy podwójne ścianki lało się wodę. To było urządzenie luksusowe. Była zepsuta, wiele jej części gdzieś zniknęło, służyła jakiś czas w gospodarstwie, a potem przerdzewiała i poszła na złom. Wiele lat później zobaczyłem, że podobną wannę z piecykiem miał Napoleon Bonaparte. Woził ją ze sobą na wszystkie prowadzone przez jego armię kampanie wojenne. Być może było ich kilka, a jedna została zagubiona w trakcie wyprawy. Wiadomo, że cesarz Francuzów spędził dłuższy czas w Kutnie, oddalonym co prawda od Krzywca, ale nie tak bardzo odległym.

Rytuałem wakacyjnym było pranie. Na początku babcia używała tary i całe wydarzenie nazywano w rodzinie „świętem morza”. Być może dlatego, że w okresie letnim brudną wodę wylewano na podwórko. Potem nastąpiła epoka pralki Frania, która działała niezawodnie przez wiele lat dzięki prostocie konstrukcji. To urządzenie po prostu nadawało się do każdego domu, w którym był prąd. Wystarczyło nalać wody do wielkiego bębna, zapuścić silnik, nastawić czasomierz i już. W latach osiemdziesiątych ciocia z wujkiem kupili pralkę automatyczną. Były to wtedy bardzo zawodne urządzenia, bo nasza w Łodzi w blokach zdążyła w ciągu niespełna dwóch lat użytkowania przeżyć wymianę silnika i dwukrotnie programatora.

W Krzywcu problem z użyciem pralki automatycznej był podstawowy. Bo jak podłączyć tak nowoczesne urządzenie w miejscu, w którym nie ma bieżącej wody w kranie? O dziwo, początkowo można było do niej nalewać wodę ręcznie, ponieważ konstruktorzy przewidzieli takie kłopoty. Ale wtedy trzeba było przy pralce czuwać, jak przy ognisku, i co chwila dolewać wody, szczególnie przy płukaniu. Cała procedura była żmudna i mało praktyczna. Potem wszyscy mężczyźni w rodzinie uradzili, że trzeba to jakoś inaczej rozwiązać, by usprawnić pranie. Mój ojciec, inżynier po Politechnice Łódzkiej, obliczył, że trzeba podłączyć beczkę na wysokości trzech metrów. Znaleźli taką, co mieściła dwa tysiące litrów, zrobiono dla niej specjalną konstrukcję z bali na zewnątrz budynku, a potem podłączono wąż z beczki do pralki. Skomplikowana konstrukcja zadziałała i służyła parę lat. Nie można było z niej korzystać tylko w trakcie ciężkich zim, bo zwyczajnie woda zamarzała, ciotce wtedy pozostawała tylko metoda ręczna. Parę lat

później wuj został sołtysem i wraz z mieszkańcami zbudował wodociąg dla Krzywca. Wszelkie problemy z pralką zostały wtedy od razu rozwiązane.

Wiadomo, że krowy muszą mieć cielaki, bo inaczej nie ma mleka. Co oznacza, że porody w mlecznych gospodarstwach muszą odbywać się regularnie, czyli mniej więcej raz do roku. Im większe gospodarstwo, tym częściej. Niektóre krowy rodzą bez problemów. Zdarzało się, że rano cielę biegło po oborze lub na polu. Dość często niestety trzeba było je z krowy wyciągać, a to nie jest takie łatwe. Krowy hodowlane nie są selekcjonowane do porodu, tylko do produkcji mleka. Cielaki najpierw wychodzą przednimi nogami, potem głowa i cała reszta. W trakcie porodu do nóg przywiązuje się specjalne troczki. Potrzebna jest też ścisła współpraca z przyszłą krowią matką. Ludzie ciągną za przednie nogi, a ona dzielnie prze. Raz kiedyś jak ciągnęliśmy za cielę, to urwaliśmy pół betonowego koryta, do którego wcześniej uwiązano krowę. Po jednych takich wakacjach – to już było chyba podczas moich studiów – koledzy opowiadali, jak to spędzili czas na łonie przyrody i mieli bliskie kontakty z naturą. Nie wytrzymałem i im powiedziałem: Co wy tam wiecie o kontakcie z naturą. Poród u krowy odbieraliśmy miesiąc temu, to bliżej natury chyba się nie da. Wśród moich kolegów zapadła cisza.... Potem wszystkie porody krów w Krzywcu zostały nazwane „kontaktem z naturą”. Wuj przestał hodować krowy w okolicy roku 2010.

Zanim powstał kościół w Rąbieniu, co niedziela z Krzywca chodziło się do sąsiedniego lasu w Żabiczkach. Tam była mała kapliczka siostr zakonnych przy niewielkim domu dla księży emerytów. Żabiczki były osadą letniskową, znaną jeszcze przed wojną. Latem tam zjeżdżali łodzianie na wakacje. Nawet nie przypuszczałem, że moją przyszłą żonę poznam właśnie w trakcie letniego pobytu u babci. W czasie wakacji do dziadków przychodzili letnicy kupować jajka, mleko, jakieś warzywa, miód z pasieki. Babcia wysyłała mnie na pole albo do domu, by przynieść, co potrzeba, a sama konwersowała z gośćmi. Zawsze była ciekawa sąsiadów i świata. Te rozmowy to był taki ówczesny Facebook, dzięki temu po prostu na wsi i w okolicy wszyscy wiedzieli wszystko – i to o wszystkich. Często kupujący przyprowadzali ze sobą jakieś dzieciaki. Te patrzyły zwykle na nas trochę dziwnie, jak to miastowe na wiejskie. Było w tym trochę podziwu, trochę strachu, bo my mieliśmy kontakt z dużymi zwierzętami, jak np. krowa, potrafiliśmy też łapać kury. Wiele lat później, gdy do Krzywca przywiozłem moją narzeczoną, okazało się, że będąc blond dziewczynką z dwoma długimi warkoczami, przychodziła do mojej babci latem. Wtedy mnie zatkało,

że wychowaliśmy się na tych samych jajkach i mleku, może kiedyś przez chwilę bawiliśmy się razem na podwórku. Życie nas czasem potrafi zaskoczyć.

W końcu lat dziewięćdziesiątych postawiłem w Krzywcu dom dla siebie i swojej rodziny. Mieszkamy tu razem, chociaż czasami życie zawodowe nas gdzieś gna po świecie. Zawsze wracamy. Dla naszej rodziny Krzywiec jest naszym domem, miejscem na ziemi, po prostu naszym światem.

Jerzy Śnieć

KRZYWIEC – 50 LAT WSPOMNIENÍ

Moja przygoda z Krzywcem zaczęła się w kwietniu 1974 r. W niedzielę rano, kiedy odsypiałem młodzieńczą imprezę, obudził mnie mój Tato Wiktor Śnieć z pytaniem, czy ma kupić działkę na wsi. Nazwa Krzywiec nic mi nie mówiła, nie wiedziałem, gdzie jest ona położona. Pytanie Taty spowodowane było tym, że Mamy Krystyny nie było w domu, bo pojechała do rodziny w Warszawie. Odpowiedziałem Tacie, żeby kupowała. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że działki kupiła większa grupa osób, w tym nasi sąsiedzi z klatki w bloku na Karolewie, państwo Szmuchertowie. Smaczku całej sprawie dodaje fakt, że pieniądze na zakup działki Mama odłożyła na zakup futra. Później ta historia stała się rodzinną legendą. Kiedy po raz pierwszy Tato przywiózł Mamę i pokazał jej kawałek zielonego pola, to Mama się popłakała. I bynajmniej nie były to łzy radości.

W pierwszym roku Tato działkę ogroził i wraz z dziadkiem Michałem, swoim teściem, ojcem mojej Mamy, posadzili drzewka owocowe, krzaki porzeczek. Dziadek urodził się na wsi niedaleko Góry św. Małgorzaty i choć całe dorosłe życie spędził w Łodzi, to widoczna była miłość do ziemi. Dziadek aż do śmierci w wieku 86 lat każdą wolną chwilę spędzał, pielęgnując ogród.

Działka, ten kawałek ziemi, stał się azylem także dla mojego Taty. Całe życie ciężko pracując jako blacharz, marzył o domku, ciszy i spokoju. Tato kupił tzw. barakowóz, który naśladował przysłowiowy wóz Drzymały i wokół niego koncentrowało się życie rodzinne. Przez pierwsze lata, a były to lata siedemdziesiąte, nikt w rodzinie nie posiadał samochodu. Aby z Karolewa albo Widzewa dojechać do Krzywca, należało najpierw dojść i dojechać do tramwaju jeżdżącego do Lutomierska, potem przejść przez Żabiczki, a następnie przez las, lawirując między ogrodzonymi działkami, dotrzeć do dzisiejszej ul. Granicznej i ul. Pod Gruszą. Zajmowało to w jedną stronę co najmniej półtorej godziny. Tyle samo trwała podróż powrotna. Każdy dźwigał po dwie torby z potrzebnymi rzeczami.

Rodzice działkę kupili od państwa Dowgiałłów, repatriantów z Wilna, którzy osiedlili się w Krzywcu po wojnie. Rodzina Dowgiałłów wraz z panią Brzozowską byli posiadaczami jedynych gospodarstw na południu wsi pod lasem. Kupno działek bezpośrednio od właścicieli w tym okresie (1974 r.) nie uzyskało zgody władz gminy w Aleksandrowie Łódzkim, co spowodowało komplikacje prawne. Uzyskanie własności akceptowane przez państwo polskie odbyło się w dwóch etapach, na początku lat dziewięćdziesiątych i w 2010 r.

W latach siedemdziesiątych i później aż do 2002 r. moje zainteresowanie działką było niewielkie, stosunkowo rzadko pojawiałem się w Krzywcu. Wspomagałem rodziców, ale to było ich królestwo i dziadków Wiśniewskich.

Z tego okresu warto przytoczyć kilka faktów natury społecznej, obyczajowej i kryminalnej.

W 1974 r. od przystanku tramwajowego w Żabiczkach do Rszewa i dalej wiodła droga gruntowa. Została ona wyasfaltowana w 1975 r. i powszechnie ten fakt wiązano z osobą ówczesnego prezydenta Łodzi, Jerzego Lorensa, który w tym czasie budował swój dom letniskowy w Żabiczkach. Został on okrzyknięty „modrzewiowym dworkiem” i zaczął funkcjonować w świadomości społecznej jako synonim bogactwa i przepychu „czerwonej burżuazji”. Tłumy przyjeżdżały oglądać ten, na dzisiejsze standardy, skromny budynek. Obyczajową ciekawostką okolicy jest zachowanie przyjeżdżających do Krzywca „turystów”, którzy przy ul. Granicznej wykorzystują samochody jako dogodne lokum na godziny. Po upojnych spotkaniach pozostawiają widoczne dowody seksualnych i alkoholowych zachowań. Jest również wątek szpiegowsko-propagandowy. W latach siedemdziesiątych spotkałem dwa razy materiały propagandowe, antysocjalistyczne, które zapewne wysyłane były drogą powietrzną (balony?) i opadały na małych spadochronach w lasach na południe od ul. Granicznej. Najbardziej mroczne i przerażające było zdarzenie z pierwszej połowy lat osiemdziesiątych, kiedy to żołnierz pełniący wartę w jednej z łódzkich jednostek zdezerterował z posterunku z bronią i ostrą amunicją. Po drodze zatrzymał samochód osobowy, w którym podróżowała para młodych ludzi. Chłopaka zabił, a dziewczynę przywiózł i więził w domku państwa Szmuchertów. Tu przez kilka dni gwałcił ją, aż został namierzony przez służby wojskowe. Cała okolica w rejonie ul. Granicznej i dzisiejszej ul. Pod Gruszą została otoczona przez wojsko. Dezerter, w istocie bandyta, został zatrzymany i aresztowany.

Okres od 1974 r. do stanu wojennego (grudzień 1981 r.) to był czas pionierski na naszej działce w Krzywcu. Poza ogrodzeniem, barakowozem i nasa-

dzeniami (drzewka i krzewy owocowe) na działce nie było nic. Przede wszystkim nie było wody i prądu, a wobec nieuznawania przez państwo faktu zakupu ziemi bezpośrednio od państwa Dowgiałłów nie było możliwe podejmowanie działań w celu doprowadzenia wody i prądu przez gminę. Problem wody Tato rozwiązał, wynajmując fachowców, którzy wykopali studnię z betonowych kręgów. Wreszcie była woda. Radość trwała kilka lat, po czym okazało się, że w studni zabrakło wody. Studnia została pogłębiona (w sumie kilkanaście kręgów), jednak po następnych kilku latach ponownie zabrakło wody. Tato wraz z innymi sąsiadami w porozumieniu z państwem Dowgiałłami pociągnęli rury wodociągowe i pobieraliśmy wodę z ich gospodarstwa. Podobnie został rozwiązany problem dostępu do prądu. Były to rozwiązania tymczasowe i kłopotliwe dla obu stron. Problem braku światła był prosty do rozwiązania. Wykorzystywaliśmy lampy naftowe. Innych urządzeń elektrycznych, poza radiem, nie było. Ciepłe posiłki, zupy, naleśniki, ziemniaki i mięso gotowane lub smażone były początkowo na kamieniach, pod którymi rozpalano ogień. Potem Tato przywiózł z mieszkania w Łodzi metalowy piec gazowo-węglowy. Gazu nie było, ale ogień pod fajerkami był luksusem. Babcia Genowefa robiła makaron, a my, dzieci, błagaliśmy o pieczone na piecu placki. Pycha! Ich smak i zapach pamiętamy do dzisiaj. To był wspaniały czas radości, spełnienia marzeń i choć trudny dla rodziców, to niezapomniany dla nas, młodych. Byliśmy wszyscy razem. Niestety późniejsze lata, choć równie piękne i wspaniałe, przyprowadzone były goryczą tego, co nieuniknione. W 1993 r. odszedł dziadek Michał, dwa lata później babcia Gienia. W 1999 r., zaledwie w wieku 63 lat, odeszła moja Mama Krystyna. Tatę Wiktora pożegnałem w 2003 r.

Odziedziczyłem działkę. W 2004 r. postawiłem nowy mały domek, w którym mieszkam do dzisiaj. Po wglądzie w dokumenty okazało się, że akt własności, który otrzymali na początku lat dziewięćdziesiątych rodzice i sąsiedzi, dotyczy jednej, wspólnej działki, bez wyodrębnienia poszczególnych, ogrodzonych działek. Dzięki przewidującej, energicznej Urszuli Szmuchert od 2008 r. rozpoczęliśmy rozmowy i starania o wyodrębnienie działek ze wspólnoty. Po dwóch latach, w roku 2010, udało się nam dopełnić formalności z aktami własności i wpisem do ksiąg wieczystych. Mogliśmy przystąpić do budowy wodociągu i linii energetycznej. Po kolejnych dwóch latach mieliśmy wreszcie prąd z sieci i wodę z gminy. Na działce jest szambo, a ostatnie (rok 2023) wymagania prawne obligują do korzystania z koncesjonowanych firm.

Przełomowe dla nas wydarzenia roku 2010 stały się zaczątkiem tradycji – świętowania naszej wspólnoty i pamięci o bitwie pod Grunwaldem. „Grunwald” to święto mieszkańców naszej ulicy. W roku 2025 świętowaliśmy po raz szesnasty. Na ul. Pod Gruszą, która jest ulicą prywatną, wystawiamy stoły, krzesła i ławy. Dekorujemy ogrodzenia, wystawiamy tarcze herbowe i dwa nagie miecze. Biesiada trwa przez cały dzień do późnej nocy. Stałymi elementami są przywitania i przedstawienie pocztów posesjonatów i dzierżawców, odczytanie fragmentów kroniki Jana Długosza o bitwie pod Grunwaldem, wysłuchanie hymnu *Bogurodzica*. Najbardziej wzruszającym momentem uroczystości jest apel – chwila ciszy o zmarłych po roku 2010 sąsiadach. Niestety z ojców założycieli pozostali z nami (część jest poza granicami Polski) tylko Jadwiga i Jan Molendowie. Do grona świętujących dołączyli na stałe posiadacze domów przy ul. Siewnej, których działki graniczą z ul. Pod Gruszą. Zapraszamy również innych gości. Niezapomnianą dla nas postacią jest Jurek Żychliński, sąsiad z ul. Kwitnącej Jabłoni.

Uroczystość jest sąsiedzka i rodzinna. Obok siebie siedzą pradziadkowie i dziadkowie, synowie i córki, wnuczeta i prawnuki.

Historia Krzywca rozpoczęła się w 1825 r. Do 1945 r. była to wieś zamieszkała głównie przez Niemców. W czasie wojny najpierw wysiedlono Polaków, potem zostali wysiedleni Niemcy. Rok 1945 jest początkiem Krzywca jako wsi zamieszkałej przez byłych mieszkańców – powracających z wysiedleń Polaków, uchodźców – repatriantów z Wileńszczyzny opuszczających swe domy pod przymusem, i osoby, które zmieniają miejsce zamieszkania z miasta (np. Łodzi) na wieś. Poza nielicznymi wyjątkami we wsi nie ma autochtonów (rdzennej ludności), prawie wszyscy jesteśmy ludnością napływową o różnych korzeniach społecznych i zawodowych. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest potrzeba integracji. We wsi działa Koło Gospodyń Wiejskich i Kółko Rolnicze. Prawdziwych rolników, żyjących z uprawy roli, jest zaledwie kilku. Członków tych organizacji jest niewielu, biorąc pod uwagę szybko rosnącą populację mieszkańców wsi, ale ich aktywna działalność jest widoczna we wsi i w gminie. We wsi mamy sołtysa, obecnie jest nim Jacek Wiśniewski, i radę sołecką. Reprezentują oni społeczność w gminie i województwie. Podejmują również wiele działań, celem których jest zaspokajanie potrzeb mieszkańców oraz kultywowanie tradycji narodowych i patriotycznych. Świętowaliśmy 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości w roku 2018, organizowane są uroczystości i konkursy historyczne, np. z okazji 100-lecia bitwy warszawskiej. Biorę w tym aktywny udział, bo choć jestem łodzianinem, to jestem już z Krzywca.



Goście obchodów kolejnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Stoją od lewej:
 Marcelina Śnieć-Górmińska, Danuta Jurczyk, Dominika Łarionow,
 Mariusz Pryc, Łukasz Śnieć, Grzegorz Sokołowski, 2019. Fot. J. Śnieć



Kadr z obchodów rocznicy bitwy pod Grunwaldem.
 Od lewej: Jerzy Śnieć, Małgorzata Brongoszewska, Jarosław Ulman, 2020 r.

Wioletta Tarnowska

HISTORIA RODZINY

Romaniak Adam, syn Michała i Zofii, urodzony 14 marca 1915 r., żołnierz Wojska Polskiego.

Wrzesień 1939 r. – wzięty do niewoli rosyjskiej i na podstawie wymiany jeńców wywieziony do Niemiec.

10 października 1941 r. wrócił do Polski.



Książeczka wojskowa Adama Romaniaka

Założył własną rodzinę i szczęśliwie został ojcem Stanisława i Stefana.

W lutym 1945 r. wraz z małżonką Janiną z domu Dzieciółowską, córką Franciszka i Józefy, kupili od Państwa Polskiego gospodarstwo rolne we wsi Krzywiec pod numerem 24, gdzie 18 lutego 1945 r. przyszła na świat córka Krystyna.

Krysia dorastała, uczęszczała do szkoły podstawowej w Krzywcu, jest to obecny budynek świetlicy wiejskiej. Były to początkowe klasy, starsi uczniowie szkołę podstawową kończyli w Rąbieniu.

Z biegiem lat synowie założyli swoje rodziny, wyszli z domu rodzinnego, a Krysia została z rodzicami na gospodarstwie.

W dniu 23 lutego 1963 r. w Urzędzie Stanu Cywilnego w Aleksandrowie Łódzkim Krystyna Romaniak i Ryszard Sikora zawarli związek małżeński. W lipcu 1967 r. Krystyna rozpoczęła pracę w Zakładach Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego w Łodzi przy ul. Armii Czerwonej 81/88.

Małżeństwo Sikorów w 1964 r., 29 marca, zostało rodzicami, urodził im się syn Stefan.

Lata upływały. Mały Stefanek dorastał. W 1974 r., 27 sierpnia, Krysia z mężem wybierali się do pracy, padał deszcz. Jechali na rowerach niedaleko domu, doszło do tragedii. W jadącego za Kysią Ryszarda uderzył piorun. Niestety śmierć była natychmiastowa.

Krystyna została wdową z 11-letnim synem. Bardzo chciała wychować go w pełnej rodzinie. W 1975 r., 15 października, wyszła za mąż za Krzysztofa Brzozowskiego, syna Michała i Marianny, urodzonego we wsi Trębaczew koło Nowego Miasta.

W 1976 r., 20 grudnia, urodziła się córka Wioletta.

W 1979 r., 5 stycznia, zmarł teść Adam Romaniak.

W 1982 r., 19 lutego, przyszedł na świat syn Mieszko.

A 20 sierpnia 1982 r. zmarła teściowa Janina Romaniak.

Małżonkowie Brzozowscy wychowali wspólnie trójkę dzieci.

Syn Stefan, po odbyciu dwuletniej służby wojskowej, założył swoją rodzinę, wyszedł z domu rodzinnego. W dniu 17 września 1988 r. ożenił się z Janiną Andrzejewską i doczekali się syna Zachariasza.

Małżonkowie Krystyna i Krzysztof prowadzili gospodarstwo z dziećmi Wioletką i Mieszkiem.

Od początku lat osiemdziesiątych do drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych Krzysztof był wozakiem, woził mleko swoje i sąsiadów do mleczarni, która mieściła się w Rąbieniu.

Lata upływały. W 1999 r., 9 stycznia, córka Wioletta wyszła za mąż za Radosława Tarnowskiego, syna Tadeusza i Zofii. Był to pierwszy ślub konordatowy w parafii pod wezwaniem Zwiastowania Pańskiego w Rąbieniu.

Dopiero w 2008 r., 22 marca, zostali rodzicami. Urodził się syn Igor.

24 stycznia 2009 r. w wyniku ciężkiej choroby nowotworowej zmarł Krzysztof.

Syn Mieszko wyprowadził się z domu rodzinnego. W październiku 2009 r. Krystyna przepisała gospodarstwo rolne na córkę i zięcia, małżeństwo Tarnowskich. Małżonkowie zajęli się gospodarstwem, dokonali modernizacji budynków.

26 lipca 2010 r. urodził się syn Oskar.

Dzieci dorastały i chodziły do szkoły w Rąbieniu. W 2018 r., 13 maja, Igor przyjął I Komunię Świętą.

28 czerwca 2020 r. w czasie pandemii Oskar przyjął I Komunię Świętą.

27 listopada 2020 r. w wyniku choroby, jak również z powodu pandemii COVID-19, zmarła Krystyna Brzozowska. Została pochowana na cmentarzu w Konstantynowie Łódzkim obok męża Krzysztofa w grobowcu rodziców Romaniaków.

Małżonkowie Wioletta i Radosław wyremontowali dom po rodzicach. W maju 2022 r. rozpoczęli budowę nowego domu w miejscu starej obory. W czerwcu 2023 r. Igor ukończył Szkołę Podstawową w Rąbieniu, a we wrześniu zaczął naukę w wymarzonej szkole rolniczej w Ksawerowie koło Pabianic w klasie o profilu technik mechanizacji rolnictwa i agrotechniki.

W 2025 r. Oskar ukończył Szkołę Podstawową w Rąbieniu i zdał egzamin do wymarzonej szkoły – Zespołu Szkół Edukacji Technicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Rodzice bardzo wspierają swoje dzieci, ciesząc się ich sukcesami, a kiedy zaistnieją jakiekolwiek porażki, zawsze służą pomocą swoim pociechom.



Pogrzeb Ryszarda Sikory



Pogrzeb Ryszarda Sikory



Legitymacja Krystyny Brzozowskiej



Brązowa Odznaka Brygady Pracy Socjalistycznej dla Krystyny Brzozowskiej

Konrad Dzieścielewski

PODRÓŻ W CZASIE DO MOJEGO KRZYWCA

Chciałbym Cię, drogi czytelniku, zabrać w podróż w czasie, podczas której nie tylko zajrzymy w głąb mojej pamięci, ale też spojrzymy na świat z perspektywy dziecka. Dziś piszę jako dorosły mężczyzna, niemniej jednak wspomnienia tu zarejestrowane należą do niego. O swoich przygodach opowie Ci sześciolatek chłopiec. Zwróci uwagę na to, co dla niego istotne, co przykuło jego uwagę. Dzisiaj do większości z tych rzeczy nie przyłożyłbym praktycznie żadnej wagi. W tamtym czasie nic innego się nie liczyło.

Dlaczego tak się od siebie różnimy, ja teraz i ja 32 lata temu? A może mogę odnaleźć jeszcze gdzieś tego chłopca i przez moment się z nim pobawić? Spróbujmy! Jeśli chcesz, zaprosi i swoje wewnętrzne dziecko, pobaw się z nami w Krzywcu. Czas start...

Niektórzy postrzegają podróże w czasie jedynie jako chwytliwy motyw fikcji literackiej. Tymczasem im więcej powstaje ekranizacji śmiałych wizji przemieszczania się w czasie, tym więcej pojawia się pytań i wątpliwości związanych z faktycznymi możliwościami zaistnienia takiego zjawiska. Najwięcej obaw budzi zdawałoby się niepozorny wpływ najmniejszych wydarzeń z przeszłości na naszą przyszłość. Zmiana biegu historii, nawet ta drobna, mogłaby przecież całkowicie wykluczyć teraźniejszość, jaką znamy. Pojawiają się zatem pytania o istnienie równoległych rzeczywistości, funkcjonujących obok siebie w tym samym czasie, niczym niezależne byty. W jednej z nich wiemy życie ubogie, w innej opływamy w dostatek. W jednej związani węzłem małżeńskim, w innej skazani na samotność. Nieskończona liczba linii czasowych, które mkną obok siebie, niezależnie, własnym tempem. Można pokusić się o założenie, że niektóre z nich nachodzą na siebie, inne odrywają się, a jeszcze inne przecinają się wzajemnie, tworząc swoiste bramy, portale do alternatywnych rzeczywistości. Wizje te

mnożą się, a im jest ich więcej, tym trudniej ogarnąć je naszym ograniczonym, ludzkim umysłem.

Wystarczy jednak spojrzeć w rozgwieżdżone niebo, by dostrzec w tym zjawisku coś więcej. Patrząc na te, z naszej perspektywy, drobne iskierki, kontemplujemy światło sprzed milionów, a nawet miliardów lat. Nierzadko bowiem tyle czasu zajmuje światłu pokonanie tej niewyobrażalnej odległości dzielącej nas od najdalszych zakątków kosmicznej otchłani. To właśnie tam, w gwiazdach, nasi przodkowie szukali odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Oni również w ten prosty, intuicyjny sposób, podróżowali w czasie. Wystarczyło przywołać w pamięci moment, do którego pragnęli powrócić, zamknąć oczy, skupić się... i już tam byli, przeniesieni siłą własnej woli w upragnione miejsce.



Przyroda w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król

A teraz ja przenoszę się do Krzywca. Krzywca, przez który wiedzie tylko jedna asfaltowa droga, ciągnąca się od rozwidlenia w Niesiecinie do trasy łączącej Aleksandrów Łódzki z Lutomierskiem. Do Krzywca, gdzie stało ledwie kilka domów, a większość krajobrazu stanowiły pola, zamknięte z obu stron nieprzerwanym pasmem sosnowych lasów, sięgających aż po horyzont. Lasy te skrywały niezliczone tajemnice, a ich zgłębienie wymagało odnalezienia właściwej drogi, co nie było ani łatwe, ani oczywiste.

Dziecko ze swojej perspektywy postrzega świat jako ogromny. Każdy, nawet najmniejszy kamień, na który można się wspiąć, urasta do rangi olbrzymiego głazu, a drzewa stają się punktami obserwacyjnymi, z których rozpościera się widok na cały dziecięcy wszechświat. Dziecko ma też krótkie nogi, dlatego każda, nawet najkrótsza podróż, zwłaszcza latem, po rozgrzanym asfalcie, staje się nie lada wyczynem.

Takie właśnie działania budowały nie tylko moje dzieciństwo, ale – co najważniejsze – kształtowały osobowość. Przestrzeń, do której miałem nieograniczony dostęp, sprawiała, że choć zwykle doskwierał mi brak towarzysza zabaw, to mogłem eksplorować krainę, w której wyobraźnia sięgała dalej niż sosnowy horyzont i bezchmurne, nieskażone blaskiem latarni, rozgwieżdżone niebo. Zapraszam zatem w podróż do przeszłości.

Parametry zostały precyzyjnie ustawione: 7 czerwca 1992 r., Krzywiec, dzisiejsza ul. Okołowicza 25, dokładna lokalizacja 51.7781964414617, 19.28393460975295. Przenosimy się w czasie o 32 lata, 7 miesięcy i 13 dni.

Widzę, jak nad polem, z którego strzela w górę młode żyto, unosi się dostojny bocian. Wielki biało-czarny ptak, w którego cieniu mógłbym się bez trudu schronić. Widzę go tak wyraźnie, bo siedzę sobie na dachu starego kurnika. Obecnie w klatce mieszkają tam dwa króliki: czarny – Bonifacy i brązowy, a zasadniczo kremowy – Kłapouchy. Siedzę więc na tym dachu, na wysokości ok. trzech metrów, na „pachnącej” smołą papie, w chłodnym cieniu komina z czerwonej cegły i obserwuję świat. Oto mój świat. Po polu, niczym małe pociski, przemykają myszy, gonione przez koty pana Jaśka – krępego mężczyzny niezmiennie odzianego w za dużą kufajkę i czapkę, czarną jak jego gęsta postrzępiona broda i wąsy. Przy odrobinie szczęścia można tu nawet dostrzec zającą, wielkiego niczym nasz pies Bary.

Nikt chyba nie wie, że tu jestem... Wspiąłem się po rozłożystym orzechu i mocno trzymając się gałęzi, przeszedłem zwinnie na dach. Nauczyłem się tego od Tarzana, w filmie wyświetlanym o 20.10 w jednym z dwóch programów naszego czarno-białego telewizora. Odbiornik ten oferował co prawda możliwość ustawienia obrazu na zielono-biały lub niebiesko-biały, ale nie czyniło to go zbyt kolorowym. Nie miał też pilota, bo przy wyborze zaledwie dwóch programów był on po prostu zbędny. Zresztą wtedy do zmiany programu używało się dzieci, a nie pilota. Wśród programów, namiętnie oglądanych w tamtym czasie były też *Bonanza* i *Święty* z charyzmatycznym Rogerem Moore'em.

Wszystko to sprawiało, że oprócz uzmysłowionej przez telewizję naturalnej umiejętności wspinania się, byłem też nieustraszonym kowbojem, walczącym o sprawiedliwość na dzikim zachodzie województwa łódzkiego, a także agentem z aureolą. Ta ostatnia kreacja pozwalała mi niezauważenie skakać z dachu wprost na miękką ziemię pola i wspinać się po siatce bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu! Wszystkich domowników, czyli babcię i dziadka, zastanawiało tylko, jakim cudem jestem tak umorusany smołą. Ta zaś schodziła ze skóry dopiero po użyciu masła... Z ubraniami niestety sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.

Króliki to był prezent od dziadka. Uporczywie powtarzał, że robi z nich pasztet. Robił to z przekąsem, bo nigdy by się do tego nie posunął... chyba. Dzięki królikom łatwiej było mnie zlokalizować, bo zawsze byłem tam, gdzie one albo... nad nimi. Karmiłem je i wypuszczałem na swobodę po całej działce, żeby nie musiały się gnieździć w ciasnej klatce. Podjadały wtedy do woli świeżą trawę i wszechobecne, soczyste liście mniszka. Cieszyłem się, że mogą cieszyć się tą samą wolnością co ja, że mogą swobodnie biegać i skakać po rozległym terenie. Nie dostrzegałem wtedy czyhającego niebezpieczeństwa. Dzieci go nie widzą, zwłaszcza w miejscu, które jest dla nich scenerią niekończących się zabaw. Oba króliki wkrótce stały się obiektem zainteresowania przebiegłej kuny. Ta sama kuna za kilka dni brutalnie zakończyła ich beztroskie życie i doprowadziła małego chłopca do łez. Dała mu kolejne, niezwykle ważne doświadczenie, z którym przyszło mu się zmierzyć – doświadczenie straty i nieuchronności śmierci... A dziadek pasztetu nigdy nie zrobił.

Ale jesteśmy tu i teraz, czyli 7 czerwca, w piękną, słoneczną niedzielę. Dzisiaj nie zeskoczę z dachu. Spojrzałem w dół i poczułem narastający strach, dlatego postanowiłem ostrożnie zejść po pniu drzewa. Dziś do Krzywca przyjeżdżają moi rodzice. Dziadek, choć nie przepada za podróżami samochodem, dał się w końcu namówić. Nasz pomarańczowy polonez jest już gotowy do drogi. Jego wnętrze, przesiąknięte charakterystycznym zapachem benzyny, na zawsze będzie mi się kojarzyć z wyczekiwanymi podróżami, na które tak trudno było namówić dziadka. Po Łodzi, gdzie mieszkaliśmy przez niemal połowę roku, poruszaliśmy się głównie komunikacją miejską. Cytując dziadka: Po to jest, żeby korzystać.

Ja, w przeciwieństwie do dziadka, uwielbiałem jeździć samochodem! Każda taka podróż była dla mnie prawdziwym świętem i właśnie w tę nie-

dzielię to święto miało nadejść. Mój ojciec, choć posiadał prawo jazdy, rzadko siadał za kierownicą. Dziadek traktował go jak rodzzonego syna, być może dlatego, że sam miał tylko dwie córki. Czasami zabierał go na przejażdżki i z niepokojem obserwował, że ojciec nie jest najlepszym kierowcą. Moi rodzice są głuchoniemi, a dziadek uważał, że tata nie słyszy pracy silnika, co skutkuje problemami z koordynacją i panowaniem nad pojazdem. Jednakże tego pamiętnego dnia ojciec otrzymał szansę poprowadzenia samochodu. Miał nas zawieźć z Niesięcina do naszego domu w Krzywcu... Niestety, jakieś 300 metrów przed domem wylądowaliśmy w rowie po przeciwnej stronie drogi. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało, ale był to ostatni raz, kiedy dziadek powierzył mojemu tacie prowadzenie samochodu. Po wiejskiej drodze Krzywca rzadko kiedy przejeżdżał samochód, a jeśli już, to zazwyczaj zmierzał do posesji Jędruszczaków albo do naszej.

Większość rolników w tamtych czasach posiadała konie. Czy to pan Przybyłek (obecnie gospodarstwo przy ul. Okołowicza 28), czy państwo Łukasińscy (obecnie gospodarstwo przy ul. Okołowicza 14). To właśnie od nich kupowaliśmy świeże mleko, prosto od krowy. Tego smaku nie zapomnę do końca życia. Każdego wieczoru z niekłamaną przyjemnością raczyłem się tym ciepłym, aksamitnym napojem, prosto z aluminiowej kaniki. Nic nie smakowało tak wybornie, jak to świeże mleko. Potrafiłem wypić naraz nawet trzy szklanki! Resztę babcia skrzętnie przeznaczala na zsiadłe mleko do obiadu i, niestety, na znienawidzoną przeze mnie poranną zupę mleczną. Szczerze jej nie znosiłem! Gdyby nie intrygujący obrazek na dnie talerza, do którego tak bardzo chciałem się „dokopać”, nigdy nie zdołałbym jej dokończyć. Zadziwiające jest to, że za każdym razem był to ten sam niezmiennie fascynujący mnie obrazek, a ja wciąż chciałem go ponownie ujrzeć. Zmuszałem się więc do zjedzenia zupy do ostatniej łyżki. Czasami trwało to dobre pół godziny... Wtedy zupa stawiała się już zupełnie zimna, na jej powierzchni pojawiał się nieapetyczny kożuch, a pływające w niej kluski stawiały się jeszcze bardziej niejadalne. Niestety, obowiązywała żelazna zasada: nie zjesz, nie odejdiesz od stołu.

Stół był drewniany, solidny, bardziej przypominający mebel ogrodowy niż kuchenny, podobnie jak stojące przy nim ławy. Od kuchni oddzielał nas rząd pólek, na których dumnie prezentowały się talerze, ozdobione malunkami brązowych kwiatów. Pamiętam też wszechobecne białe firanki z motywami różnych roślin.

Nasz dom był połączony z rozległymi magazynami, w których niegdyś składowano materiały papiernicze, a później, przez krótki czas, w części z nich hodowano kury. Po jednym i drugim pozostały już tylko nieliczne pamiątki: gaśnice proszkowe i hydronetki ustawione przy solidnych, drewnianych słupach. Na działce było przyłącze siły. Tablica rozdzielcza, niczym z tajnego laboratorium, oznaczona była trupa czaszką i złowrogim napisem: „Uwaga! Wysokie napięcie”. Instalacja była stara, często też wyłączano napięcie w Krzywcu. Dziadek uroczyście włączał prąd i wyłączał, kiedy wyjeżdżaliśmy i przyjeżdżaliśmy do Krzywca. Samo już przestawienie masywnej wajchy budziło respekt i dreszczyk emocji.

Nieużywany, opustoszały magazyn Arpisa ze względu na swoje gigantyczne rozmiary budził w sześciolletnim dziecku prawdziwą grozę, zwłaszcza gdy nadciągała złowroga, burzowa chmura albo gdy zapadał zmrok. Miał on w sobie również pewną magię, kryjąc w swoich zakamarkach niezliczone, poukrywane pokoje, mniejsze magazyny i strychy, w których wciąż można było natrafić na ostatnie partie szarego papieru pakowego czy sztywne bloki z przeróżnymi tabelkami i formularzami faktur do wypełnienia. Wszystkie te skarby stanowiły dla mnie niewyczerpane źródło materiałów. To właśnie na nich, niczym na płótnach, stawiałem pierwsze kroki w rysunku, kreśliłem mapy i planowałem kolejne, śmiałe wyprawy po terenach Krzywca.

W magazynie niepodzielnie królowały pająki. Rozciągały swoje misternie utkane sieci na wejściach i przejściach, niczym delikatne firanki zawieszane w korytarzach, łapały w nie nieostrożne muchy i strzegły odwiecznych tajemnic. Pokłady tych zapomnianych papierów wydawały mi się wprost nieskończone. Miałem wrażenie, że ktoś nieustannie podrzuca kolejne stosy, dlatego też bez najmniejszych skrupułów oddawałem się na nich swojej pasji rysowania i malowania.

Z dziadkiem zapuszczaliśmy się zawsze w te rejony, które dla innych pozostawały niedostępne, nieodkryte. To właśnie dzięki tym wspólnym eskapadom poznałem dokładnie całą wieś, każdy jej zakamarek. Dziadek był człowiekiem niezwykle lubianym i szanowanym, choć niektórzy, niestety, wykorzystywali jego wrodzoną dobroć i bezgraniczną ufność. Nigdy nie obnosił się ze swoją pozycją ani z tym, że posiadał niemały majątek. To był swój chłop, prawdziwy człowiek z Krzywca. Eugeniusz Stępniak, bo tak się nazywał, znacznie częściej dosiadał swojego wysłużonego roweru

Ukraina, niż wsiadał do lśniącego poloneza. Uwielbiał też długie spacery, podczas których odkrywał miejsca niedostępne dla innych, dokąd nawet rowerem nie sposób było się przedostać. I często zabierał mnie ze sobą. W ten sposób poznawałem nie tylko nowe, fascynujące miejsca, w tym ludzi i ich domostwa. Najbliżej, bo dosłownie przez płot, stał dom państwa Jędruszczaków. I właśnie przez ten płot, niczym paczki, przerzucano nas, wnuki pana Lucjana i mnie, w jedną i drugą stronę. Bawiłem się też z wnukiem państwa Przybyłków, gdzie między oborą a stodołą poznawałem zupełnie inny, fascynujący świat. Szczerze mówiąc, to właśnie tamto wiejskie życie, w otoczeniu zwierząt, bardziej do mnie przemawiało. Konie, krowy, świny, kury, kaczki, koty i psy... Dla dzieciaka wychowanego w mieście było to niczym prawdziwe, egzotyczne safari. Gospodarstwo Przybyłków ciągnęło się aż do rzeki Lubczyny, a ich ziemie sięgały chyba aż po sam las, do dzisiejszej ul. Granicznej. W każdym razie z całą pewnością użytkowali tamte tereny.

Za gospodarstwem leniwie płynęła wspomniana rzeka... a raczej rzeczka, której brzegi od strony Przybyłków łączyła prowizoryczna, drewniana kładka, zbita naprędce ze starej deski rzuconej na kępy traw. Dla mnie, małego chłopca, była to jednak prawdziwa, rwąca rzeka, dlatego obawiałem się chodzić po tej chybotałej kładce, panicznie bojąc się wpaść do mętnej wody. Każde przejście na drugi brzeg było nie lada wyzwaniem, aktem prawdziwej odwagi.

I choć, jak pamiętam, nie bałem się skakać z dachu starego kurnika, to sama myśl o przejściu po tej wątlej kładce napawała mnie niewypowiedzianym strachem. Myślę, że było to spowodowane traumatycznym przeżyciem z dzieciństwa, kiedy to, będąc jeszcze młodszym brzdącem, wpadłem do lodowatej wody na przystani promowej w Świnoujściu. Gdyby nie błyskawiczna reakcja dziadka, dla którego woda była poskromionym żywiołem, pewnie nie pisałbym teraz tych wspomnień, no chyba że w jakiejś innej, alternatywnej czasoprzestrzeni. Po drugiej stronie Lubczyny rozciągały się malownicze łąki i pastwiska, sięgające aż po sam las, gdzie na niewielkim wzniesieniu stał ostatni dom. Być może to właśnie stąd wzięła się nazwa ul. Granicznej. To była w tamtych czasach faktyczna granica cywilizacji, kres znanego mi świata. Do 1995 r. nie miałem pojęcia, co kryje się w gęstwinie tego tajemniczego lasu i jakie niezbadane sekrety skrywają się za nim. To był dla mnie prawdziwy koniec świata!

Teren naszego domu, pieszczotliwie zwanego „działką” (bo faktycznie większość czasu spędzaliśmy w Łodzi – przynajmniej ja, babcia i rodzice), był naprawdę rozległy. Mieliśmy tam wszystko: ukwiecony ogród ozdobny, bogaty w warzywa ogródek, rozległą, pachnącą ziołami łąkę i dorodny sad, na który składało się kilka starych grusz, jabłoni, wiśni i słodkich czerśni. Babcia dosłownie tonęła w tych wszystkich ogrodach, pielęgnując je z oddaniem... i to ewidentnie nie był jej żywioł. Dziadek, z uporem, ciągle wciągał ją w uprawę coraz to nowych warzyw i owoców. Ja sam nie byłem entuzjastą pracy w ziemi. Zdecydowanie bardziej wołałem oddawać się rysowaniu albo wspinać się na najwyższe drzewa i obserwować stamtąd świat. Długie spacery też były dla mnie prawdziwą mordęgą. Wszędzie było tak daleko, a w upalne, letnie dni w ogóle wołałem nie wychylać nosa z chłodnego cienia garażu lub ocienionej alei morw, prowadzącej od ulicy wprost do domu. Ale jak już gdzieś szliśmy, to na całego, nie było zmiłuj!

Kiedy zapuszczaliśmy się w głąb lasu, zdawał się on nie mieć końca, rozciągał się przede mną niczym nieokiełznana, dzika kraina. Spacerując w okolicach dzisiejszej ul. Olchowej, w swobodnych rozmowach dziadków często pojawiała się tajemnicze, pobudzające wyobraźnię opowiadanie o znajdującej się na końcu tej drogi Chacie Wuja Toma. Brzmiało to niezwykle intrygująco, jak fragment jakiejś nieznanej baśni. Nigdy tam co prawda nie dotarłem, ale moja bujna, dziecięca wyobraźnia natychmiast podsuwała mi obraz starej, drewnianej chaty myśliwskiej, skrytej w leśnej gęstwinie, zamieszkałej przez sędziwego, brodatego Wuja Toma. W mojej głowie snuł on fascynujące, pełne przygód opowieści o swoich niezwykłych, leśnych eskapadach. Niewątpliwie to właśnie dzięki tym barwnym wyobrażeniom kilka lat później z zapartym tchem, niczym zaczarowany, przeczytałem książkę *Przygody Tomka Sawyera*. Czym jednak w rzeczywistości była owa enigmatyczna Chata Wuja Toma? To pytanie, niczym nierozwiązana zagadka z dzieciństwa, do dziś pozostaje dla mnie fascynującą, nierozwiązaną tajemnicą.

I znów czuję się, jakbym tam był. Teraźniejszość. Na zachód od ul. Życzliwej rozciągają się przepastne lasy. Ten krajobraz, ku mojej radości, nie zmienił się zbyt wiele przez te wszystkie lata. To właśnie tam, w leśnych ostępach, pośród gęstwin drzew i krzewów, spędzałem najwięcej czasu, oddając się beztróskim, chłopięcym zabawom. Było to w końcu najbliżej domu, tuż za miedzą. Przechodząc przez rozległą działkę wujostwa Białkowskich,

wychodziłem wprost na skraj wspomnianego lasu, czując zew przygody. Kiedy jednak cioci Ireny i wujka Edwarda nie było w domu, zmuszony byłem iść dłuższą drogą, dziś ul. Życzliwą, która wbrew swojej jakże mylącej nazwie wcale taka życzliwa i przyjazna nie była. Pomiędzy polami, niczym wstęga, wiła się piaszczysta, wyboista droga, w której nieustannie, po kostki, zapadałem się, a drobny, sypki piach utrudniał kroki. Kilka lat później, kiedy w końcu trochę urosłem i przesiadłem się na rower, tamten jakże zdradliwy odcinek drogi wciąż trzeba było pokonywać pieszo, z pokorą prowadząc kołyszący się na boki jednośląd obok siebie. Koła dosłownie tańczyły, bezzradnie uciekając w grząskim, zdradliwym piachu.

Las rozpoczynał się gęstym, niegościnnym pasem ostrych jeżyn, by następnie przejść w łagodniejsze, wyściełane miękkimi połaciami mchu sosnowe tereny, poprzecinane gdzieniegdzie malowniczymi, brzozowymi zagajnikami. Od czasu do czasu na naszej drodze pojawiały się wyniosłe, dostojne dęby, ale tych drzew na północ od domu było zdecydowanie najmniej. Las w moich chłopięcych oczach zawsze miał w sobie tajemniczą duszę, którą dziś, bez wahania, przypisuję pradawnym, słowiańskim duchom. Jestem głęboko przekonany, że one wciąż tam mieszkają, czają się w leśnych ostępach, tak jak psotliwe skrzaty, o których dziadek snuł mi niezliczone, fascynujące opowieści. Dzięki tym opowieściom bez trudu mogłem wyruszać na ich poszukiwania i z dziecięcą wiarą odnajdywać ich ślady, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Nie zawsze jednak udawało się wytropić skrzata, chociaż dziadek nieustannie mnie do tego namawiał. Budowaliśmy domki, szalasy, małe mebelki. Jak nie znalazłem moich brodatych bohaterów, w bystre oko wpadały inne, fascynujące stworzenia – np. rozmaite robaczki. Obserwacja pajaków misternie tkających swoje sieci była jedną z moich ulubionych leśnych rozrywek. Mogłem godzinami, w pełnym skupieniu, śledzić, jak te małe, niepozorne stworzenia budują swoje kunsztowne, geometryczne sieci, a potem z anielską cierpliwością czatują w ukryciu na nieostrożne ofiary. Fascynowały mnie też delikatne, zwiewne motyle, ich ulotne piękno i feria tęczy barw. W tamtych odległych czasach było ich znacznie więcej. Całe chmury mieniących się kolorami skrzydeł unosiły się nad ukwieconymi łąkami, tworząc niezapomniany, magiczny spektakl. Dziś, niestety, to rzadki, wręcz unikatowy widok, albo przestałem tak pięknie widzieć świat?!

W lesie, z nieocenioną pomocą dziadka, dzięki znalezionej w magazynie starej snopowiązałce, zbudowałem kiedyś gigantyczną pajęczynę. Dokładnie taką, jaką wcześniej zaobserwowałem w naturze, misternie utkaną pomiędzy drzewami. Niestety, mimo usilnych starań, nigdzie nie mogłem znaleźć odpowiednio dużego, godnego tej konstrukcji pająka. O znalezieniu muchy, która mogłaby sprostać moim oczekiwaniom, nawet nie wspomnę. Chyba tylko ta z kultowego filmu *Mucha* z Jeffem Goldblumem byłaby odpowiednia. Film ten, swoją drogą, oglądałem ukradkiem z dziadkami, udając, że śpię. Gdybym faktycznie zasnął, pewnie nie śniłyby mi się później po nocach te przerażające filmowe obrazy, wywołując koszmary!

Ciężko mi się odnaleźć w tej plątaniu wspomnień, w tej gęstwinie przeszłości. Czasy mieszają się ze sobą, nakładają na siebie! Obrazy przenikają się wzajemnie i już sam nie wiem, czy to, co wspominam, działo się kiedyś, a może dzieje się właśnie w tej chwili. Może równolegle w innym wymiarze. Kiedy to czytasz, drogi czytelniku, to już to, co teraz piszę, jest zaledwie reliktem przeszłości. Odległe echo minionych dni. Może więc darujmy sobie rozważania o czasie, który, cytując mądre słowa Alberta Einsteina, jest pojęciem względnym.

Tempus fugit, aeternitas manet! Czas ucieka, wieczność pozostaje!

Dziadek odszedł, ale pozwól, że teraz udam się z nim na wędrowkę i zabiorę Cię ze sobą. Idziemy nad urokliwy staw należący do wspomnianych już wcześniej państwa Łukasińskich. Stamtąd na cały Krzywiec niósł się donośny, radosny rechot żab tworzący niezapomnianą, wiejską symfonię. Te właśnie żaby, te niepozorne płazy, były w kręgu moich szczególnych zainteresowań. Wśluchiwałem się w ich koncerty i nie przeszkadzały mi nawet dokuczliwe komary. Co więcej, mam nieodparte wrażenie, że w tamtych czasach było ich znacznie mniej niż dzisiaj. Może to właśnie dzięki żabom i jaskółkom, które uwijały się, budując swoje gniazda pod każdym możliwym dachem, tworząc niepowtarzalny, sielski klimat. W każdym razie z dziadkiem Gienkiem regularnie chodziliśmy „na żaby”, organizując swoiste polowania.

Łowienie żab, tych zwinnych, skocznych stworzeń, wymagało nie lada cierpliwości, sprytu i strategicznego podejścia. Chyba lepszej szkoły tych umiejętności w całym Krzywcu nie można było sobie wymarzyć! Stosowaliśmy różne wymyślne techniki, konstruowaliśmy specjalne podbieraki z siatek albo firanek, których potem babcia nie mogła się doliczyć. Tworzy-

liśmy skomplikowane konstrukcje łapek. Wszystko po to, aby, broń Boże, żadnej żabie nie stała się krzywda. Samo polowanie, czyli długie godziny spędzone w gęstych zaroślach, z podbierakiem w dłoni, to była prawdziwa frajda i niezapomniana przygoda. Otaczały mnie wysokie, majestatyczne pałki tataraku, a na nich, niczym królowe na tronach, zasiadały ogromne, mieniające się kolorami ważki. Obserwowały otoczenie swoimi ruchomymi, jakby nie z tego świata oczami, lustrując bacznie teren. Zazwyczaj wracaliśmy z takiego polowania z pustymi rękami, ale za to w towarzystwie dwóch krów, które spokojnie pasły się dookoła stawu. Pan Łukasiński zabierał je na noc do obory i tam, na moich oczach, doił do lśniącego, metalowego wiaderka. Przyglądałem się temu procesowi z niesłabnącą ciekawością, w niecierpliwym oczekiwaniu na mój ukochany przysmak – świeże, ciepłe mleko. Dookoła w radosnym zamieszaniu biegały jeszcze gdzieś zabłąkane kury i gęsi, a nad naszymi głowami z piskiem śmigały zwinne jaskółki.

Kiedy już udało nam się złowić jakąś żabę, po dokładnym obejrzeniu z namaszczeniem puszczaaliśmy ją z powrotem na wolność. Czasami jednak zabieraliśmy ją do naszej starej, wysłużonej wanny, stojącej w ogrodzie. Taka wanna to było coś zupełnie normalnego, typowy element krajobrazu na większości wiejskich działek. Pełniła funkcję zbiornika na deszczówkę, który w mgnieniu oka mógł się zamienić w „jakby luksusowy” basen dla dziecka albo, jak w tym przypadku, w tymczasowe akwarium dla żab.

Jeśli chodzi o żaby, uwielbiałem też zbierać małe, czarne kijanki i z zapartym tchem obserwować, jak te niepozorne, galaretowate stworzonka dzień po dniu przeobrażają się w dorosłe, skaczące żaby. Co roku ten cudowny, naturalny proces fascynował mnie na nowo i co roku z niesłabnącym zapałem odławiałem kilka dorodnych kijanek do swojej hodowli.

Dzień pełen wrażeń i przygód kończył się błogo dobranocką o 19.00, wiadomościami i filmem o 20.10. Wspominałem, że przerwy w dostawie prądu wieczorem zdarzały się często, to był czas na obserwację nieba. I tak zasypiałem wtulony w miękką, zimną kołdrę, wypchaną gęstym gęsim puchem, przy akompaniamencie niestrudzonych świerszczy i oczywiście donośnego rechotu żab. Nie brakowało też śpiewu ptaków, które – choć już nieco wyciszone – gdzieś zaznaczały swoją obecność, szykując się powoli do porannej, powitalnej symfonii. Przygotowanie, rzecz jasna, nie oznaczało snu. W tych kojących dźwiękach nie mogło zabraknąć bajki na dobranoc, czytanej przez ukochanych dziadków. A wiercie mi, było

w czym wybierać, bo biblioteczka dziadka budziła podziw! Ja wybierałem bajki. Babcia, na zmianę z dziadkiem, czytali mi wiersze Brzechwy, Tuwima... Niemniej jednak ja najbardziej uwielbiałem magiczne, tajemnicze *Baśnie 1000 i jednej nocy*. Była to księga niezwykle, wprost czarodziejska, a kunsztowne, bogato złożone ilustracje w mgnieniu oka zmieniały zwykły wieczór krzywcowy w pełną magii arabską noc. Kolorowe sny w komnatach sułtana, szalone loty na zaczarowanym dywanie czy trzy życzenia do spełnienia wypowiedane do dzina z czarodziejskiej lampy – to wszystko składało się na barwny fundament mojej dziecięcej wyobraźni, tak pieczołowicie kształtowanej przez kochających dziadków. Ich czas, poświęcony na czytanie mi do snu, te bezcenne chwile były solidną, trwałą podwaliną, na której zbudowałem swój pełen fantazji świat. W Łodzi, w miejskim zgiełku, nie było na to przestrzeni, nie było na to czasu. Natomiast w Krzywcu życie płynęło zupełnie innym rytmem, na innych, naturalnych zasadach. Wyznaczały je: poranne pianie koguta budzące do życia całą okolicę i głęboka ciemność nocy rozświetlana przy dobrej pogodzie jedynie przez migoczące gwiazdy i blady, tajemniczy, zwrócony do nas twarzą księżyc.

Poza wędrówkami po lesie, po bezkresnych, zielonych ostępach były też wycieczki... samochodem do pobliskiego Lutomska, nad staw – Wrzącą. Wrząca była najbliższym, ogólnodostępnym „kąpieliskiem”, na które w upalne, letnie dni tłumnie jeździli się ludzie z bliższej i dalszej okolicy. Dookoła wody, na zielonym tle, stały samochody, a na kocach przy nich wylegiwali się spragnieni słońca plażowicze. Obok stawu, nad którym dziś widnieje zakaz kąpielii, płynie rzeka Ner. W latach dziewięćdziesiątych, przejeżdżając tamtędy od strony Krzywca, a także w drodze powrotnej, zmuszeni byliśmy szczelnie zamykać okna w samochodzie. Smród wdzierający się do wnętrza, odór płynących ścieków we wspomnianym Nerze był wprost nie do zniesienia, trudny do opisu. Do tej rzeki trafiały chyba wszystkie możliwe odpady z łódzkich fabryk i wszelkie nieczystości z całego miasta... Do dziś nie mogę pojąć, jak ktokolwiek mógł się kąpać w stawie tuż obok tej tykającej bomby biologicznej!

Chociaż... Być może to właśnie dzięki temu ekstremalnemu hartowaniu organizmu jestem do dziś wyjątkowo odporny na choroby. Praktycznie w ogóle nie choruję, nie przeziębiam się, żadne infekcje się mnie nie imają. W każdym razie to właśnie w tym mulistym zbiorniku wodnym, tuż obok „płynnej, śmierdzącej tablicy Mendelejewa”, nauczyłem się pływać.

A dokładnie mówiąc, nauczyłem się, że trzeba aktywnie się ruszać, energicznie pracować rękami i nogami, żeby po prostu nie utonąć. Tak oto dziadek Gienek w dość niekonwencjonalny sposób nauczył mnie pływać. Po prostu bez zbędnych ceregieli rzucił mnie na głęboką wodę i czekał, obserwując bacznie, co zrobię. Byłem przerażony, bałem się panicznie. W mojej pamięci wciąż tkwiła, opisana już wcześniej, traumatyczna przygoda z dzieciństwa, mroząca krew w żyłach. Ale skoro już mnie wrzucił do tej wody, to musiałem, chcąc nie chcąc, dać sobie radę, walczyć o przetrwanie. Pierwotny strach, o dziwo, przezwyciężył jeszcze silniejszy instynkt, instynkt przetrwania i w ten jakże brutalny sposób nauczyłem się pływać. A co najważniejsze, na zawsze przestałem się bać wody, oswoilem ten żywioł! Warto dodać, że moje dzieci również nauczyłem pływać dokładnie w ten sam sprawdzony sposób i one też są mi za to wdzięczne.

Dziadek nauczył mnie w Krzywcu wielu praktycznych umiejętności: jak zbijać deski, tworząc z nich proste konstrukcje, jak z dziecięcą precyzją malować balustradę na naszej „urokliwej” werandzie, czy jak, niczym wprawny murarz, kleić cementem pęknięcia w starych schodach i pękającym, sypiącym się tynku, który swoją drogą uwielbiałem pasjami odrywać od czerwonej, chropowatej cegły. Nauczyłem się w końcu odróżniać szpadeł od łopaty i z niemałym wysiłkiem kopać zarośniętą trawą ziemię.

Pamiętam, jak kiedyś w piaszczystym, sypkim podłożu, bo takie właśnie ziemie dominują w Krzywcu, niczym mały kret wykopałem w ciągu jednego upalnego dnia dziurę na ponad dwa metry głębokości! Byłem z siebie niesamowicie dumny, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Niestety, jak się szybko okazało, wydostanie się z tej jakże głębokiej pułapki przekraczało moje możliwości. Dziadkowie, zaniepokojeni moją nieobecnością, rozpoczęli gorączkowe poszukiwania, nawołując mnie po imieniu. Jednakże z takiej głębokiej dziury dźwięk niesie się bardzo słabo, jest stłumiony, zniekształcony, przez co, mimo usilnych starań, nie mogli mnie zlokalizować! Sytuacja była patowa, a ja zaczynałem wpadać w panikę. W końcu mnie znaleźli. Nie obyło się bez obrażeń. Moje ramiona i kark były czerwone od padających w dziurę promieni słońca. Babcia całą noc okładała mnie zsiadłym mlekiem, żebym nie wył z bólu, leżąc na plecach! Ale dół był pierwsza klasa! Niestety praca zakończyła się tym, że musiałem go zasypać.

Raz w tygodniu, w sobotę, czasami przy okazji odbierania rodziców z przystanku w Niesięcinie, gdzie autobus kursował chyba tylko dwa razy

dziennie, wybieraliśmy się z dziadkiem na rowerach do sklepu. Dziadek pieszczotliwie nazywał te wyprawy „rundkami”. Właśnie „na górce” w Nieściecinie był w tamtych pionierskich czasach jedyny sklep w całej okolicy. Sam sklep, jak na złość, usytuowany był na sporym wzniesieniu, na które, chcąc nie chcąc, trzeba było cały czas pedałowować pod górę. Na końcu tej jakże męczącej wspinaczki, kiedy już resztkami sił wtaczałem się na szczyt, opadając z sił, zazwyczaj byłem zmuszony prowadzić rower, nie mając już ani odrobiny energii, by na nim jechać. Gdyby nie kusząca, słodka obietnica lodów Bambino na patyku i orzeźwiającej oranżady w szklanej, zwrotnej butelce, za nic w świecie nie dałbym rady tam wjechać! Czasami, stosując wyrafinowane techniki perswazji, udawało mi się naciągnąć dziadka na gumy balonowe Donald z kultowymi, miniaturowymi komiksami w środku, które kolekcjonowałem z pasją. Zdecydowanie woląłem historyjki z Kaczorem Donaldem od miniplakatu z serii Turbo, gdzie główną rolę odgrywały samochody... Te czterokołowe maszyny jakoś niespecjalnie mnie wtedy interesowały. Duże, pełnowymiarowe komiksy z Kaczorem Donaldem przywozili mi regularnie co miesiąc rodzice, zaopatrując mnie w solidną dawkę lektury. To właśnie te komiksy stały się moją pierwszą samodzielną lekturą, dzięki której krok po kroku nauczyłem się płynnie czytać, otwierając sobie drzwi do magicznego świata książek.

W drodze powrotnej ze sklepu było już na szczęście z górki, więc mknęliśmy radośnie i bez wysiłku. Mimo to zatrzymywaliśmy się regularnie pod dwoma majestatycznymi kasztanami, które, co ciekawe, stoją w Krzywcu do dzisiaj, w okolicy starej, nieczynnej już szkoły, po drugiej stronie drogi. Tam, w cieniu rozłożystych drzew, zazwyczaj okazywało się, że dziadek w swej szczodrości kupił jeszcze w tajemnicy przede mną tabliczkę pysznej czekolady, którą się później dzieliliśmy.

Jak wspomniałem, mieliśmy psa. Otóż i dla niego jest miejsce w tej opowieści, bo to pies z Krzywca rodem. Bary, nasz wierny przyjaciel, czujnie pilnował mnie i całego naszego dobytku. Wielki, postawny owczarek niemiecki, o brązowo-czarnym umaszczeniu, niczym legendarny Szarik z kultowego serialu *Cztery pancerni i pies*, towarzyszył nam krok w krok przez wszystkie beztroskie lata spędzone w Krzywcu. Szczekał donośnie tylko wtedy, kiedy ktoś obcy, nieproszony, pojawiał się na terenie naszej działki. Był prawdziwym, oddanym przyjacielem dziadka, z którym, jak mawiał dziadek, trzymał sztafę. Mieli ze sobą jakąś niewidzialną, silną więź, nić porozumienia. Bary, jak

cień, trzymał się blisko dziadka. Ja nie odegram tu znaczącej roli, bo prawdę mówiąc, nie byłem zbyt w kręgu jego zainteresowań. No chyba że teoretycznie trzeba było stanąć w mojej obronie... A że jak sięgnę pamięcią, takiej palącej potrzeby nie było, to niestety mam z nim, z Barym, stosunkowo niewiele wspomnień, do których mógłbym z sentymentem wracać. Tak naprawdę mam tylko dwa, może trzy, ale niech to będzie opowieść na inną okazję.

W wieku ośmiu lat, niczym nieustraszony odkrywca, zapuszczałem się już samodzielnie w głąb tajemniczego lasu. Niejednokrotnie celowo gubiłem drogę, błędząc w gęstwinie, by po jakimś czasie z ulgą odnaleźć, niczym światełko w tunelu, drogę powrotną do domu. Wtedy też po raz pierwszy odważyłem się wyruszyć w „zagraniczną” podróż, przekraczając, w przenośni i dosłownie, granice znanego mi dotąd świata. Odkrywałem dziewiczy, nieznany mi wcześniej las, chłonąc jego piękno i tajemniczość. Od północnej strony Krzywca również miałem okazję, niczym niestrudzony eksplorator, odkrywać fascynujące, zapomniane miejsca, takie jak stare, porośnięte mchem cmentarze, opuszczone, tajemnicze domy w głębi lasu, do których w swej bujnej wyobraźni dopowiadałem niesamowite, mrozące krew w żyłach historie. Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy, niczym wytrawny kolarz, na ręcznie pomalowanym składaku, wyruszyłem w samotną podróż rowerem z Łodzi do Krzywca. Co więcej, nikt, absolutnie nikt nie wiedział o tym jakże śmiałym przedsięwzięciu przed moim wyczynem! Wcześniej, trenując kondycję, dojechałem do miejscowości Huta Jagodnica (połowa drogi) i po szybkiej kalkulacji stwierdziłem, że zarówno czasowo, jak i siłowo jestem w stanie dać radę, pokonać ten dystans. Kiedy w końcu dotarłem na miejsce, byłem z siebie dumny jak paw, a dziadek na mój widok pobladł jak ściana. W pierwszej chwili bardziej jednak zastanawiał się, jak wytłumaczymy ten jakże szalony wyczyn babci, niż nad tym, co on sam o tym sądzi. Ostatecznie zgodził się, abym wrócił do Łodzi ponownie na rowerze, o własnych siłach. Nie było telefonu, więc ciężko byłoby powiadomić babcię, która czekała na mnie w domu, o mojej nieobecności... a nawet jeśli, to pewnie by dostała zawału. Samochód był w naprawie, a akurat nikogo znajomego nie było. Zresztą skoro dałem radę dojechać, to i z powrotem również dam radę, prawda? Ufał mi, to nie ulegało wątpliwości, i bezgranicznie wierzył we mnie, w moje możliwości. Takie sytuacje, te momenty pełne zaufania i wiary w moje siły, sprawiały, że czułem się przy nim jak dorosły, prawdziwy mężczyzna. Dziadek zresztą często powtarzał, że jesteśmy

kumplami, najlepszymi przyjaciółmi, a ja nigdy nie straciłem do niego szacunku i zawsze bezwzględnie liczyłem się z jego zdaniem, ceniąc jego mądrość i doświadczenie.

Babci oczywiście pochwaliłem się, że byłem w Krzywcu. Przywiozłem jej bukiet polnych kwiatów. Nie uwierzyła.

Dziadek, jak wrócił do Łodzi, zapytał, czy powiedziałem babci. Odpowiedziałem, że tak, i że nie uwierzyła. On się uśmiechnął i powiedział tylko: Może i lepiej. Potem przytulił mnie i jak to on rozczochrał mi włosy dłonią.

Poskakałem trochę po linii czasu, przenosząc się z wydarzenia na wydarzenie. Tym oto sposobem zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do roku 1997. Wtedy to moi dziadkowie podjęli trudną dla mnie decyzję o sprzedaży działki w Krzywcu. Jestem przekonany, że to babcia odegrała tu kluczową, decydującą rolę. Na tę decyzję złożyło się z pewnością wiele różnych elementów, skomplikowanych czynników, o których wtedy nie miałem pojęcia. Niestety dziadek, sprzedając działkę, nie zrobił, delikatnie mówiąc, interesu życia, oj nie. Wiele było z tego powodu rozmów w domu. On sam miał do siebie żal o sprzedaż Krzywca.

Dla mnie miało to zupełnie inny wymiar. Spędzałem tam praktycznie każde wakacje i nigdy się tam nie nudziłem. Wyczekiwałem na moment, kiedy pojedziemy do Krzywca. Pamiętam, jak bardzo płakałem, jak rozpacziałem, kiedy dowiedziałem się, że to już definitywny koniec, że to kres mojej jakże cudownej przygody z Krzywcem. Od tamtego czasu wielokrotnie z sentymentem przyjeżdżałem w te strony i z pewnej odległości z nutą melancholii patrzyłem na mój Krzywiec, mój dom. Łaziłem godzinami po okolicy, snując się bez celu... Nawet raz zainteresowali się mną czujni sąsiedzi i przezornie wezwali policję. Skończyło się tak, że opowiedziałem policjantom trochę moich historii z dzieciństwa, a oni po wysłuchaniu pouczyli mnie i z uśmiechem na ustach puścili wolno... Wróciłem do Łodzi.

Od kilku lat mam tę przyjemność i zaszczyt przyjeżdżać do Krzywca regularnie i brać czynny udział w lokalnych wydarzeniach organizowanych przez prężnie działające sołectwo. Krzywiec na moich oczach rośnie, pięknieje, rozbudowuje się, przybywa domów, ulice, nawet te nieżycziwe, stają się Życzliwe i pokrywają się równym asfaltem. Lecz, co najważniejsze, duchy, te dobre duchy przeszłości, pozostały i zapewniam Was, bardzo ciężko byłoby je stąd przepędzić, wygnać. Bądźcie więc uważni, miejcie oczy i uszy szeroko otwarte, bo w tych jakże tajemniczych lasach wciąż mieszkają

skrzaty, a na podmokłych łąkach nad Lubczyną żaby niestrudzenie prześcigają się w rechocie ze świerszczami. Zaś dostojne bociany majestatycznie przelatują nad miejscami, gdzie niegdyś w mojej, jakże odległej przeszłości, rozciągały się bezkresne, zielone łąki i gęste, tajemnicze lasy.

Być może na posesji przy ul. Okołowicza 25 wciąż dumnie przy domu rośnie ten wielki, rozłożysty modrzew... Może wciąż jakiś olbrzymi pająk krzyżak z uporem, codziennie od nowa, buduje swoją pajęczynę. Podobną do tej, do której ja z dziecięcą ciekawością wrzucałem złapane uprzednio w starą firankę nieszczęsne muchy. Być może też nikt do tej pory nie odkopał mojej pilnie strzeżonej tajemnicy – butelki szczelnie zamkniętej z ukrytym w środku listem i kilkoma jakże cennymi drobiazgami z mojego beztroskiego dzieciństwa. Tę butelkę z namaszczeniem zakopałem nieopodal starego, rozłożystego drzewa, w ostatnim, pełnym wzruszeń dniu spędzonym w naszym ukochanym domu, w magicznym Krzywcu. A napisałem tak: „Tu zawsze będzie mieszkał ten mały chłopiec, który, kochając to miejsce, przeżywa wciąż te wszystkie przygody w swojej linii czasu”.



Maki w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król

Mariusz Konwaluk, Marcin Król

MIEJSCE

Rok 2025 to nie tylko okrągły jubileusz 200-lecia powstania wsi Krzywiec, ale jest to również rok, w którym obchodzimy nasz prywatny jubileusz. W tym roku przypada okrągła rocznica naszego zamieszkania w Krzywcu. Mija już 10 lat, odkąd wprowadziliśmy się do wybudowanego przez nas domku na ul. Pogodnej. Jak ten czas szybko upływa – to już naprawdę dekada...

Wybór miejsca był składową wielu czynników, zarówno tych losowych, jak i tych bardziej przemyślanych, a także tych, które uważamy za niewytłumaczalne i mistyczne. Mimo że wcześniej szukaliśmy swojej ostoji w tych okolicach, zawsze coś nie pasowało. Nie czuliśmy tego. Ludzie podejmują decyzje, opierając się na spełnionych oczekiwaniach lub po uwzględnieniu kompromisów. W tej sytuacji było coś innego. To był impuls. To było to coś, czego do końca nie umiemy nazwać.

Nasi bliscy znajomi, którzy również od wielu miesięcy poszukiwali „swojego miejsca”, niespodziewanie otrzymali informację, że ich serdeczna koleżanka ma na sprzedaż działkę. Proponowany areal był na tyle wystarczający, że można było podzielić na dwie części. Oględziny miejsca, a następnie decyzja o zakupie odbyły się w iście ekspresowym tempie. Pod wskazanym adresem w otoczeniu łąk i pól uprawnych oraz w niedalekim sąsiedztwie lasu znaleźliśmy nasze miejsce. Towarzyszyły nam przy tym silne i pozytywne emocje. Lokalizacją byliśmy oczarowani. Wyobrażenia zaczęła wyświetlać w naszych głowach nowe obrazy. W projekcjach widzieliśmy nas siedzących na wyimaginowanym tarasie z twarzami skierowanymi w stronę budzącego się słońca, popijających gorącą kawę z kubka obejmowanego obiema dłońmi. I ta przestrzeń... Poza walorami otaczającymi działkę dodatkowym atutem było jej usytuowanie. Położenie w niewielkiej odległości od wyasfaltowanej drogi nazwanej urzędowo ul. Konstantego Okołowicza nadawało temu miejscu skrytości.

Znamy swoją rozagę i roztropność, dlatego pomimo tylu lat nadal budzi w nas pozytywne zaskoczenie, że potrafiliśmy tak szybko podjąć decyzję o zakupieniu gruntu. Równie szybko i w pełnej zgodzie nastąpił podział powierzchni działki. Nowi sąsiedzi wybrali część po lewej stronie, a nam się podobała część po prawej stronie z widokiem na pola i łąki. Wyjątkowość Krzywca zauważył również wynajęty przez nas architekt, który był odpowiedzialny za projekt naszego domu. Niedługo po tym, jak przybył na wizję lokalną, by uwzględnić wszystkie atuty usytuowania działki do projektu, sam zakupił grunt nieopodal, na ul. Promiennej, na którym wybudował dom i mieszka wraz ze swoją rodziną do dziś. Przypadek?

Po załatwieniu spraw urzędowych zamierzaliśmy uporządkować teren działki. Wraz z nowymi sąsiadami umówiliśmy się i przyjechaliśmy dwoma samochodami. Sąsiedzi zabrali swoje córki. My zabraliśmy pożyczoną kosiarkę i jakieś narzędzia ogrodnicze. Słoneczny i ciepły dzień nie zapowiadał niczego złego. Plan był prosty. Zadaniem dorosłych było posprzątać teren, skosić trawę, wyciąć samosiejki, jeśli takie były. Dziewczynki miały zająć się zabawą. Zwieńczeniem pobytu miało być ognisko. Prace szły dosyć żwawo. Nasz zapal i pogoda temu sprzyjały. Skoszoną trawę zgrabiliśmy na kopczyki, wybieraliśmy suche gałęzie i kamienie. Śmieci popakowane w worki czekały w bagażnikach naszych aut. Przyszła pora na ognisko. Dzieci były podekscytowane. Zgodnie z zachowaniem zasad bezpieczeństwa miejsce pod ognisko zostało obłożone polnymi kamieniami, które wcześniej wybieraliśmy. Szpadel, dla bezpieczeństwa, był wbity niedaleko przygotowanego stosu. Rozpaliliśmy ułożony kopczyk z gałązek i suchej trawy. Dziewczynki bardzo się cieszyły, ponieważ była to dla nich atrakcja. Radość i zabawa zamieniły się szybko w przerażenie. Nic nie zapowiadało zmian meteorologicznych, gdy nagle zerwał się porywisty wiatr. W mgnieniu oka ogień był poza kamiennym okręgiem i szybko się rozprzestrzeniał. Gaszenie przemieszczającego się ognia naszymi zasobami nie przynosiło oczekiwanego skutku. Wiry wiatru przenosiły ogień na inne miejsca, na coraz większy obszar. Kłęby dymu były coraz większe. Przerażenie rosło. Dziewczynki i samochody ewakuowaliśmy na asfaltową drogę, a w międzyczasie zadzwoniliśmy po pomoc. Oczekiwaliśmy na straż, gdy nagle trakto-rem z założonym pługiem pojawił się miejscowy rolnik. Traktorzysta jechał wzdłuż ściany ognia, pługiem odcinał drogę dalszego rozprzestrzeniania się żywiołu. Widać było jego zdecydowanie i doświadczenie. Ogień nie da-

wał za wygraną. Zaczął podchodzić pod ogrodzenie posesji, na której był dom w budowie. „M” złapał za szpadel i podbiegł do ogrodzenia. W sposób chaotyczny zaczął gasić ogień, gdy nagle z zagrożonej posesji usłyszał kobiecy głos: „Czy was popier...?”. Pewnie w innych, bardziej sprzyjających okolicznościach padłyby słowa bardziej uprzejme i przyjazne. Górę wzięły emocje – zwrot był jak najbardziej adekwatny do sytuacji. Było to zrozumiałe i usprawiedliwione. W ten niespotykany sposób poznaliśmy kolejnych sąsiadów, z którymi jesteśmy w bliskich relacjach do dziś.

Na miejsce przyjechało pięć jednostek straży. Profesjonalne podejście strażaków oraz nieoceniona pomoc rolnika przyniosły oczekiwany skutek. W krótkim czasie opanowali żywioł. Pożar został ugaszony. Po wszystkim dopiero zobaczyliśmy ogrom zniszczeń. Pogorzelisko było na powierzchni około jednego hektara nieużytków. Sami wyglądaliśmy jakbyśmy co najmniej pracowali w kopalni przy urobku węgla. Po zakończonej akcji gasniczej dowódca straży stwierdził, że mieliśmy wiele szczęścia. Obyło się bez obrażeń i strat materialnych. Dzieci, narzędzia i sprzęt ogrodniczy oraz kamienny krąg po ognisku uwiarygodniały nasze zeznania, że nie było naszą intencją wypalanie traw. Obeszło się bez mandatu. Odjeżdżając, dodał, żebyśmy się nie martwili, bo „za trzy tygodnie na tym pogorzelisku urośnie soczystozielona trawa i będzie ładnie”.

Zaistniała sytuacja nie zapowiadała, że zostaniemy ciepło przyjęci wśród lokalnej społeczności. Nie był to dobry początek. Jednak patrząc z perspektywy czasu, a także z przymrużeniem oka, nasze *entrée* można określić jako wow! Było na sygnałach i z fajerwerkami. Przez pewien czas w miejscowym obiegu używano określenia „podpalacze” jako naszej ksywki. Na wsi i w okolicach byliśmy już znani.

Na wiosnę 2015 r., po kilku miesiącach od przeprowadzki do nowego domu, wykonując prace porządkowe przed budynkiem, zauważyliśmy jadącą w naszym kierunku kobietę na rowerze. Z uśmiechem na twarzy podeszła do ogrodzenia, mówiąc: „Dzień dobry! Jestem Danusia, mieszkam tam..., na kolejnej ulicy, na Wygodnej”. Danusia Jurczyk, opowiadając w skrócie i pośpiechu o Krzywcu i świetlicy, zaprosiła nas na coroczną akcję „sprzątania”, która miała zakończyć się ogniskiem. To była pierwsza osoba z lokalnej społeczności, krzywiecczanka, którą poznaliśmy. Owszem, wcześniej podczas różnych prac na działce widzieliśmy twarze osób, które z biegiem prac budowlanych zaczęliśmy rozpoznawać i grzecznościowo

klaniać się na ich widok, ale nie znaliśmy ich imion. Były też osoby, które tu poznaliśmy, ale tak jak my, nie byli tubylcami. Akcja sprzątanía zakończona integracją była idealnym pomysłem, dlatego zaproszenie chętnie przyjęliśmy. W ten sposób poznaliśmy kolejnych mieszkańców. Udział w tym wydarzeniu sprawił, że poczuliśmy się częścią tej lokalnej społeczności. Zostaliśmy obywatelami Krzywca. Wraz z upływem lat i różnych inicjatyw organizowanych przy świetlicy, imprez, wydarzeń, zebrań mieszkańców – znajomych twarzy przybywało. Poznaliśmy osoby, które mieszkają tu od pokoleń, ale też i takie, które – jak my – przesiedlili się z innych miejsc.

Po kilku latach w naszym domu zamieszkała jeszcze jedna domowniczka, nasza sunia Roma. Jest owocem gwałtu na suczce rasy berneński pies pasterski, zamieszkałej kilka domów dalej od swojego oprawcy o imieniu Lucky, rasy husky. Afera swego czasu była dosyć głośna, gdyż właścicielka berneńki miała żal do właścicielki Lucky'ego o to, że ten przeskoczył ogrodzenie, zerwał majteczki suni i doszło do zbliżenia. Skutkiem tego głośnego przestępstwa przeciwko czystości rasy była gromadka szceniaków, które zaczęły ciążyć właścicielce berneńki. Lucky, winny przestępstwa gwałtu, poniósł surową karę – przeszedł zabieg sterylizacji. Aby odciążyć właścicielkę suki i zmniejszyć koszty utrzymania szceniaków, właścicielka samca ogłosiła akcję adopcyjną. W ten sposób w naszym domu pojawiła się Roma. Do tej pory sąsiadka, właścicielka ojca naszej suki, ciągle powtarza nam, że „powinniśmy płacić jej daninę za to, że wniosła w nasze szare życie trochę kolorytu i radości”. Przyznajemy rację. Rzeczywiście Roma potrafi ubarwić naszą codzienną prozę. Jest bardzo radosnym i mądrym psem. Sąsiedzi mieszkający naprzeciwko uwielbiają naszą Romę, która też nie pozostaje obojętna. Okazuje im swoją wdzięczność poprzez radosne skakanie i merdanie ogonem, gdy tylko zabierają ją na wieczorne spacer. Potrafi okazać swoją radość wszystkim, którzy choćby przez chwilę poświęcili jej uwagę. Zdarza się, że jej wyrazy podziękowania stają się nadto ekspresyjne i wylewne.

Przez te 10 lat wieś Krzywiec powiększyła swoje zasoby o kilkanaście, a może i kilkadziesiąt nowych domów. Pojawiły się nowe rodziny i nowi mieszkańcy. Główna droga, ul. Okołowicza, została pokryta nową nawierzchnią asfaltową, a dla bezpieczeństwa mieszkańców zainstalowano progi spowalniające. Przy świetlicy wybudowano drewnianą altanę i plac zabaw dla dzieci. Wieś Krzywiec i jej społeczność pokazały swoją otwar-

tość i gościnność. Jako pierwsza w gminie Aleksandrów Łódzki zaproponowała dach nad głową dla uchodźców wojennych z Ukrainy. Może to subiektywne, ale według naszej oceny, szczególnej osobliwości i wyjątkowości wsi dodaje mnogość występowania tęczy. To urokliwe i kolorowe zjawisko więcej razy widzieliśmy na krzywcowym niebie, niż do czasu przed zamieszkaniem tutaj. Ulica Pogodna nadal jest uroczą uliczką otoczoną łąkami i polami uprawnymi.

Z okazji jubileuszu 200-lecia istnienia wsi Krzywiec obecnym i przyszłym mieszkańcom chcemy złożyć życzenia: dużo serdeczności, uśmiechu, szczęścia, zdrowia i spełnienia marzeń. Aby wszystkim mieszkańcom było dane dostrzec wyjątkowość położonego pośrodku Polski naszego wspólnego zakątka – wsi Krzywiec.



Roma wśród traw. Fot. M. Konwaluk i M. Król

Jacek Wiśniewski

MAMY TU SVOJE MIEJSCE, DOBRE SĄSIEDZTWO, MIŁĄ ATMOSFERĘ ORAZ POCZUCIE SPEŁNIENIA

Urodzeni i wychowani w Łodzi, początkowo realizowaliśmy życiowe plany. Kiedy już poczuliśmy potrzebę zmiany, a było to, gdy mieszkaliśmy w Dąbrowie, postanowiliśmy poszukać większego mieszkania. Przeglądane lokalizacje z reguły obarczone były „jakimiś wadami”: cmentarz, bliskość trasy szybkiego ruchu czy nieuregulowana sytuacja prawna. To mój obecny sąsiad, Jacek, z którym pracowałem, zainteresował mnie miejscem, bliskością lasu, a jednocześnie łatwym i szybkim dojazdem do Łodzi. Jak wspomniałem, sąsiad, który już wprowadzał się do świeżo wykończonego domu, zaprosił nas do siebie, roztaczając same pozytywne przykłady co do wybranej lokalizacji. W tamtej chwili nikt z moich domowników nie zastanawiał się nad nazwą miejscowości, w której chcieliśmy zamieszkać, a w poszukiwaniach kierowaliśmy się klimatem miejsca, magią i poczuciem spokoju. Z perspektywy czasu nie zamieniłbym tej lokalizacji na żadną inną. Mamy tu swoje miejsce, dobre sąsiedztwo, miłą atmosferę oraz poczucie spełnienia.

Po zakupieniu w grudniu 2011 r. działki i podjęciu starań związanych z budową domu, ostatecznie w grudniu 2013 r. zamieszkaliśmy na swoim w Krzywcu.

Od samego początku dobry kontakt z urzędnikami gminy powodował pozytywne rozwiązania pojawiających się trudności, a samo sąsiedztwo przynosiło poczucie bezpiecznej wspólnoty. Bliskość lasu dawała mi także miłe obcowanie z przyrodą, stwarzała możliwość zbierania grzybów, jazdy na rowerze czy spacerowania. Wieś jest pod wieloma względami niezwykła. Choć znaczna jej część usytuowana została przy drodze (ul. Okołowicza), to jednak posiada ona „małe” osiedla, takie enklawy, które powodują, że praktycznie nie trzeba się daleko ruszać. Mamy tutaj swój budynek Domu Ludowego, tzw. świetlicy wiejskiej, gdzie odbywają się najważniejsze dla

mieszkańców spotkania oraz wybory. W budynku tym mają swoją siedzibę: Sołtys, Rada Sołectwa oraz organizacje społeczne – Kółko Rolnicze i Koło Gospodyń Wiejskich. Jak w większości wsi, znajduje się tu także sklep ogólnospożywczy i kapliczka. Bliskość miasta Łodzi oraz miast sąsiednich daje mieszkańcom doskonałe możliwości spędzenia wolnego czasu na wydarzeniach kulturalnych czy też koncertach i zawodach sportowych. W okolicy znajdują się liczne atrakcje, np. Aquapark Fala, parki miejskie, palmiarnia czy stawy, gdzie dodatkowo odbywają się liczne atrakcje. Otwarta niedawno pobliska trasa S14 powoduje, że skomunikowanie naszej wsi z resztą Polski jest dużo łatwiejsze. Ludność zamieszkująca teren wsi jest w dużej mierze ludnością napływową i – jak wynika z moich obserwacji – wywodzi się głównie z miasta. Jak wszędzie, tak i u nas nie ma osób idealnych, zdarzają się nieporozumienia sąsiedzkie i konflikty, jednak nie stanowią one problemu.

Od kilku lat jesteśmy uczestnikami niezwyklej imprezy zainicjowanej przez sąsiada Jerzego Śniecia, który z wykształcenia i pasji jest historykiem. Wprowadził do kalendarza mieszkańców rocznicę obchodów bitwy pod Grunwaldem, która jest świetną okazją do wspólnej zabawy, a co najważniejsze – pięknych opowieści o tamtych czasach.

Małgorzata Wiśniewska

JEDNAK WSZECHŚWIAT CAŁĄ SVOJĄ MOCĄ KIEROWAŁ NAS DO TEGO MIEJSCA

Urodzona i wychowana w Łodzi. Z zawodu położna, witam tych, co na świat przychodzą. Całe życie pracuję w ICZMP w Łodzi. Z zamiłowania podróżniczka. Z każdej podróży przywożę część świata do mojego domu w Krzywcu. Od kiedy pamiętam, chciałam mieć ogród, budzić się, słysząc śpiew ptaków za oknem, na tarasie, wszędzie wokół. Początki nie były łatwe, poszukiwania tego miejsca trwały bardzo długo. Jednak wszechświat całą swoją mocą kierował nas właśnie tutaj. Dzięki ciężkiej pracy powstała Tara. A tak personalizując – Wi_Tara.



Tęcza w Krzywcu. Fot. M. Konwaluk i M. Król

Mój ogród to zioła, przyprawy, pomidory, kwiaty, motyle, owady. Po drzewach skaczą wiewiórki, jeże gromadzą zapasy na zimę. Mieszka z nami kot Fisiek, który sobie nas sam wybrał, przyszedł z lasu.

Dzięki obecności natury przyszła kolej na medycynę naturalną i zachowanie zdrowia na najwyższym poziomie. Ukończyłam kurs hirudoterapii, masażu, trzy stopnie reiki, uczę się ziołolecznictwa oraz chińskiej medycyny naturalnej. W zdrowym ciele zdrowy duch, ćwiczę zatem *tai chi*. Ta nauka będzie już trwała wiecznie. W lesie mam swoje miejsce mocy, z którego czerpię swoją siłę i energię do ciągłej pracy nad sobą, oraz gdzie doskonale nabyte umiejętności. Taki krąg zamknięty.

Nasza społeczność powoli stała się Wielką Rodziną, wspólny wigilijny opłatek, gry terenowe z dziećmi, pikniki, ogniska na terenie Domu Ludowego, bitwa pod Grunwaldem. Dzielimy się tym, co mamy, warzywa z ogródka, owoce, zioła, dobre słowo i wspólnie spędzony czas. Taka pozytywna dzika historia. Pielęgnujemy w sobie wewnętrzne dziecko. Staramy się nigdy nie dorosnąć.

Magdalena Wiśniewska

MOGĘ DZIELIĆ SIĘ TYM MIEJSCEM Z RESZTĄ ŚWIATA

Zainspirowana bliskością lasu, z miłości do natury stworzyłam pracownię świec sojowych. Wyjątkowy las, z którym graniczy Krzywiec, emanuje pozytywną energią, jest w nim dużo spokoju, magii, naturalnych inspiracji, które dają początek pomysłom na stworzenie wyjątkowych kompozycji zapachowych. Ręcznie wytwarzane produkty mają w sobie cząstkę tego miejsca, które zamknięte jest z miłością w każdym słoiczku lub pudełeczku. W ten sposób mogę dzielić się tym miejscem z resztą świata. Zapach, który jest moim ulubionym, stworzonym na oddanie okolic pracowni, ma w sobie nuty konwalii, akacji, czarnego bzu – słodkich kwiatowych woni, które unoszą się w ciepłym powietrzu na przełomie maja i czerwca w okolicach drzew, wśród których słychać pszczoły zbierające nektar. Ten kwiatowy zapach jednocześnie równoważą nuty cedru, paczuli i szaławii – co podbija leśny charakter i sprawia, że jest on niepowtarzalny! Krzywiec jest też miejscem, w którym tworzę kreatywne projekty, współpracując od lat z lokalnym Kołem Gospodyń Wiejskich i Kółkiem Rolniczym w Krzywcu. Dzięki tym małym, ale prężnym stowarzyszeniom dzieje się tu wiele atrakcyjnych i przede wszystkim lokalnych inicjatyw, które gromadzą mieszkańców i sympatyków wsi. Sąsiedzi, których tu poznaję, to wyjątkowe osoby, które mają w sobie mnóstwo ciepła i niesamowite pasje, którymi potrafią się dzielić.

Zdecydowanie myślę, że to miejsce wpływa na ludzi, którzy czują tu spokój, bezpieczeństwo. Lubią otaczać się naturą, świadomie stawiają na zdrowe i zrównoważone nawyki w życiu i żywieniu. Wierzę, że Krzywiec będzie się rozwijać w swoim tempie, zachowując swój pierwotny charakter z poszanowaniem przyrody, historii i w rytmie małej wsi na skraju miasta.

Agnieszka Jocz-Minich

SPOTKANIE PO LATACH

Szesnaście lat temu wybudowaliśmy nasz wymarzony dom w Rąbie-
niu AB. Tak się złożyło, że od Krzywca dzieli nas jedynie ul. Jasna. Zrządze-
niem losu Dominika Łarionow, moja dawna towarzyszka dziecięcych zabaw,
od lat mieszkała już dosłownie w linii prostej po drugiej stronie pola kukury-
dzy. Odnowiwszy kontakt, zaczęłyśmy coraz częściej spotykać się na space-
rach z wózkami, jako że naszych synów dzielą jedynie trzy miesiące. Zwyczaj
tych spotkań bardzo szybko przerodził się w przyjaźń. Po kilku miesiącach od
przeprowadzki, kiedy udało mi się już osiąść tu na dobre, pomyślałam, że wła-
ściwie nic nie wiem o okolicy ani o ludziach, którzy tu mieszkają. Okazało się,
że Dominika myślała podobnie, lecz ona jako kobieta czynu na zastanawia-
niu się nie poprzestała i z pomocą Krysi Ulman zorganizowała w restauracji
Konstancja spotkanie okolicznych mieszkańców. Frekwencja była niesamowi-
ta, a ludzie ogromnie otwarci natychmiast przyjęli nas do swojego grona. To
wtedy pierwszy raz usłyszałam historię terenów, które teraz nazywam domem.



Kolędnicy w Krzywcu. Od lewej: Krzysztof Grudzień,
Marzena Januszevska-Zarzycka, Lilla Kacprzak,
Jolanta Grudzień, Krystyna Ulman, Jolanta Marchlewska,
Agnieszka Jocz-Minich, Tomek Czaszke,
Robert Zarzycki, 2024. Fot. K. Grudzień



Kolędnicy idą przez wieś, 2024. Fot. K. Grudzień

Po tym spotkaniu życie towarzyskie we wsi nabrało tempa. Początkowo sporadyczne spotkania w świetlicy wiejskiej przerodziły się we wspólne gotowanie, bale maskowe, jajeczka, głośnie na całą gminę kolędowanie, gdy poprzebierane w stare futra przeprawowałyśmy dumnie przez całą okolicę, oferując wszystkim życzenia i chwilę uśmiechu. Jednak to spontaniczne spotkania na ploteczki cenię najbardziej, gdy siedzimy, śmiejąc się lub płacząc przy słynnej na całą wieś naleweczce „Oczy chrabąszcza” produkcji Marzeny Januszewskiej-Zarzyckiej. Zyskałam dzięki temu wsparcie niesamowitych, różnorodnych kobiet i pewność, że siostrzeństwo nie jest tylko mitem.

Dziękuję, Dominiko, że pobudziłaś wtedy ludzi do aktywności towarzyskiej. Ostatnia dekada była dzięki temu magiczna.

Dominika Łarionow

HISTORIA KOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH I KÓŁKA ROLNICZEGO W KRZYWCU

**PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE Z OKAZJI
JUBILEUSZU 70-LECIA KGW I 60-LECIA KR W KRZYWCU,
WRZESIEŃ 2018 R.**

Szanowni Państwo,

mam zaszczyt przedstawić krótki rys historyczny Kółka Rolniczego i Koła Gospodyń Wiejskich w Krzywcu.

Polskie organizacje rolnicze powstały w połowie XIX w. jako stowarzyszenia skupiające włościan, czyli mieszkańców wsi. Ich początek był ściśle związany z okresem rozwoju rolnictwa oraz stopniowo rozszerzanej wiedzy na temat upraw, hodowli zwierząt czy wprowadzanej mechanizacji. Celem włościańskich towarzystw rolniczych, czyli późniejszych kółek rolniczych oraz towarzystw gospodyń – późniejszych kół gospodyń wiejskich – była przede wszystkim rozbudowana działalność edukacyjna. Dość szybko stały się one ważnymi organizacjami społecznymi. Od 1862 r. wielu wybitnych mężów stanu w Polsce, a także intelektualistów za zaszczyt poczytywało sobie przynależność do kółek rolniczych. Należeli do nich m.in. Józef Piłsudski, Stefan Żeromski, Melchior Wańkowicz, Stanisław Staszic, Stanisław Mikołajczyk, Henryk Sienkiewicz, Władysław Reymont, oczywiście także Wincenty Witos. Za postać szczególnie dla historii naszej wsi należy uznać Marię Konopnicką z uwagi na jej zamieszkanie w pobliskich wsiach: Bronów i Gusin. Można – nieco na wyrost – uznać Konopnicką za znajomą z KGW.

Jak w każdej historii, tak i w naszej jest małe „ale”, o którym z pewnością wiedziałaby Konopnicka. Do 1945 r. Krzywiec był wsią z ludnością niemiecką. Zatem na tym terenie nie było polskich organizacji ani stowarzyszeń, choć z pewnością wśród miejscowej ludności istniała potrzeba spotkań. Po drugiej wojnie światowej i okresie masowych przesiedleń

w Krzywcu zamieszkali Polacy pochodzący z różnych stron – zarówno z pobliskiego Rszewa, jak i z Wilna czy Lwowa.

Z pewnością zauważyli Państwo, że na zaproszeniu widnieją dwie cyfry jubileuszowe, z których wynika że KGW jest organizacją historycznie starszą niż KR. Aż chętnie bym w tym miejscu powiedziała, że kobiety górą! Bo oto historia dowodzi, że w Krzywcu dokonał się niezwykle wzrost postępu i cywilizacji!

Koło Gospodyń Wiejskich w Krzywcu zostało powołane prawdopodobnie w 1947 r. przez instruktorki z Ligi Kobiet, zatem organizacji o silnym feministycznym rodowodzie. KGW organizacyjnie powiązano wówczas z Gromadzkim Kołem Samopomocy Chłopskiej. Oficjalne pierwsze zapisy działalności KGW w Krzywcu pochodzą z 1948 r., dlatego ten rok uznajemy za początkowy dla naszej historii.

W tamtym okresie KGW odgrywało niezwykle ważną rolę na wsi. Instruktorki z Ligi Kobiet szkoliły gospodynie w coraz to nowych umiejętnościach. Dzięki przynależności do organizacji można było zapisać się m.in. na pisklęta kur.

Gospodynie z naszej wsi brały co roku udział – tak jak i obecnie – w dożynkach, zawsze przygotowując okolicznościowe wieńce. Obecnie, gdy życie „pędzi” i większość mieszanek oraz aktywnych członkiń KGW pracuje w Łodzi, żałujemy, że już nie ma jesiennych spotkań przy tzw. darciu pierza czy zimowych wieczorów szydełkowania, robótek ręcznych, haftowania. Wyobrażamy sobie, że w czasach bez telewizora były to spotkania wypełnione śpiewem, pogaduszkami i ploteczkami z ich lokalnym urokiem i czarem.

Mieszkanki Krzywca odnosiły też jako KGW poważne sukcesy, bowiem wygrywały w konkursach m.in. na dorodne plony warzywne. Otrzymywały wówczas nagrody, np. pralkę Frania, wyżymaczkę, magiel, aparat do bieleńia, szatkownicę, siewnik do warzyw, a nawet radio. Dzięki KGW zorganizowano w Krzywcu wspólną apteczkę pierwszej pomocy, a jedną z członkiń przeszkolono na kursie pielęgniarstwie. Sądzę, że z dzisiejszej perspektywy te osiągnięcia koleżanek z KGW pokazują ich ciężką pracę, hart ducha oraz niezłomność w dążeniu do wyznaczonego celu, jakim bez wątpienia była poprawa jakości życia na wsi. Wymiar otrzymanych nagród pokazuje, że dziś opowiadamy o realności, która jest bardzo odległa od naszej obecnej sytuacji ekonomicznej. W ciągu 70 lat zmieniło się wszystko i nie wszyscy hodują kury, ale pozostała potrzeba wspólnych spotkań. A o to wciąż dba KGW!

Jednakże KGW obecnie nie mogłoby istnieć w tej formie, gdyby nie było Kółka Rolniczego. Niewątpliwie była to zawsze organizacja dla gospodarzy – mężczyzn. Jego historia miała więcej wspólnego z polityką niż patriarchatem. Historia KR w Krzywcu pokazuje, jak polityka państwowa odbija się na każdym poziomie życia społeczeństwa. KR powstało w 1957 r., po słynnej odwilży roku 1956. Państwo socjalistyczne pod rządami Władysława Gomułki zrezygnowało z przymusowej kolektywizacji wsi, jaka była wprowadzona w Polsce po 1949 r. Pod koniec lat pięćdziesiątych pozwolono odtworzyć na wsiach organizacje rolnicze – w nawiązaniu do znanych od XIX w. struktur. Celem Kółka Rolniczego w Krzywcu było pozyskanie maszyn do pracy w polu, na które składali się wszyscy gospodarze. Pierwszym zakupem był agregat omłotowy. W 1961 r. zakupiono dwa ciągniki Ursus 325. Potem dokupiono Ursusy: C-328, C-40/11, C-355. Musimy pamiętać, że wówczas tzw. rolnik indywidualny sam nie miał prawa tego zrobić. Taką możliwość miały organizacje rolnicze. Co prawda w Rąbieniu od 1950 r. istniał Państwowy Ośrodek Maszynowy, ale z pewnością społeczność wsi czuła się lepiej, mając do dyspozycji własne maszyny. W 1966 r. KR w Krzywcu miało poważne zamiary budowy szklarni. Powstały nawet projekty architektoniczne, niestety z nieznanых przyczyn Prezydium Rady Narodowej w Łodzi odmówiło zrealizowania inwestycji.

Gdy gromadziłam materiały o historii organizacji rolniczych w Krzywcu, ciekawym dla mnie odkryciem był fakt, że miejscowe KR, świadcząc usługi transportowe, brało udział w budowaniu Łodzi oraz pracowało m.in. dla Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi. Oznacza to, że zmiana społeczna na wsi, jaka dokonała się w ciągu ostatnich 20 lat, swoje początki miała już w latach siedemdziesiątych XX w. poprzez migrację ekonomiczną.

Polityka wdarła się do historii KR w Krzywcu jeszcze dwa razy. Bardzo spektakularnie odbyło się to w 1975 r. Edward Gierek, I sekretarz PZPR, postanowił upaństwowić wszelkie organizacje, które stopniowo jednoczyły ludzi i poprzez ten fakt zyskiwały względną niezależność w państwie socjalistycznym. Kółka rolnicze zamieniono na spółdzielnie kółek rolniczych, które powiązano z centralnymi strukturami administracyjnymi. Ciekawostką może być fakt, że ofiarami podobnych dyrektyw padły także względnie wolne i swobodne teatry studenckie oraz organizacje młodzieżowe. Powstałe w połowie lat siedemdziesiątych spółdzielnie przetrwały w niezmienionej formie do upadku systemu w 1989 r. Przemiany polityczne końca XX w.

przyczyniły się do upadłości wielu kółek rolniczych. W Krzywcu organizacja uległa czemuś niezwykłemu, co można określić mianem hibernacji. Podobnie jak w kolejnych częściach legendarnego filmu *Seksmisja* w reżyserii Juliusza Machulskiego, kobiety musiały – na całe szczęście – nie „znaleźć” i „wykopać” mężczyzn, tylko ich namówić, nakłonić do działania, by odrodzić w Krzywcu KR po burzach transformacji ustrojowych.

Obecnie w Krzywcu nie ma tak wielu rolników jak było kiedyś. Na wsi osiedlają się ludzie z miasta w poszukiwaniu spokoju, natury, czystego powietrza. Pomimo zmian trwale pozostały główne cele życia na wsi – nadal prawie wszyscy mieszkańcy coś sieją, czymś nawożą, coś zbierają, coś hodują. I choć nie wyprowadzamy tylu krów na pastwiska, tylko więcej psów na spacer, to wciąż zbieramy jakieś plony. I nadal borykamy się, nie ze stonką ziemniaczaną, ale z innymi równie wyrafinowanymi szkodnikami. Wydaje się, że mamy w Krzywcu te same problemy co kiedyś: a to droga, a to światło, a to woda stoi na łąkach... I znowu potrzebna jest zwarta organizacja mieszkańców, żeby pozyskać fundusze i działać na rzecz wspólnoty. Dlatego powstała konieczność odrodzenia Kółka Rolniczego jako organizacji pomocowej dla społeczności wiejskiej, wszak to zadanie KR spełniało od zawsze.



Żniwa w Krzywcu, lata 80. XX wieku

Aby powstała zjednoczona wspólnota mieszkańców, musi być miejsce. Budynek, który Państwo widzą, jest pozostałością i świadectwem dawnych czasów. To jest szkoła wiejska, jaka została zbudowana w Krzywcu jeszcze w XIX w. Oryginalnie znajdowały się tu dwie sale lekcyjne oraz mieszkanie dla nauczyciela. Budynek funkcjonował jako szkoła podstawowa do lat sześćdziesiątych XX w. Później zamieszkali w nim lokatorzy. Dopiero staraniem Józefa Powalskiego, ówczesnego sołtysa, budynek został formalnie przekazany mieszkańcom wsi. Fundusze na ten cel pozyskano z gminy, która dzięki wsparciu Jacka Lipińskiego, burmistrza Aleksandrowa Łódzkiego, przy aktywnym udziale Leszka Pierlejewskiego przekazała ponad 100 tys. zł na remont. Sam budynek nadal wymaga troski i nie wszystko jeszcze jest wykończony, ale mimo to miejsce już służy społeczności Krzywca. Dawna szkoła stała się w ostatnich latach dobrą przestrzenią dla spotkań mieszkańców. Oprócz koniecznych zebrań wspólnoty często organizowane są spontaniczne biesiady z różnych okazji, takich jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, andrzejki czy zwyczajne sąsiedzkie spotkania. Miejsce, w którym się znajdujemy, emanuje energią pokoleń.



Mariusz Pryc – Prezes Kółka Rolniczego i Lilla Kacparzak – Przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich, 2018. Fot. I. Powalska

BIBLIOGRAFIA

- Banaszkiewicz, M., Owsianowska, S. (2015). *Trudne dziedzictwo a turystyka. O dysnansie dziedzictwa kulturowego*. „Turystyka Kulturowa”, 11, s. 6–24.
- Bator, J. (2020). *Gorzko, gorzko*. Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak.
- Baudrillard, J. (2005). *Symulakry i symulacja*, przeł. S. Królak, Warszawa: Wydawnictwo Sic!
- Charuba, A. i in. (2024) *Multiobejścia. Nie tylko Polacy w krajobrazie wsi w Rzeczpospolitej*, [w:] *Dzieje polskiej wsi. Pomocnik historyczny*, „Polityka”.
- Grass, G. (1992). *Wróżby kumaka*, przeł. S. Błaut. Gdańsk: Wydawnictwo Morskie.
- Ingold, T. (2018). *Czasowość krajobrazu*, przeł. R. Chymkowski, [w:] P. Majewski, M. Napiórkowski (red.), *Antropologia pamięci. Zagadnienia i wybór tekstów*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, s. 247–258.
- Kuszyk, K. (2019). *Poniemieckie*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Latocha, S. (2020). *Spóźniony gość w cudzym świecie: konteksty trudnego dziedzictwa*, „Kultura i Społeczeństwo”, 64(2), s. 2017–216.
- Latocha, S. (2021). *Poniemieckość: „opowieść spod lipy” i zawłaszczona kategoria. Z inspiracji mitoburczymi esejami Ludwika Stommy*. „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, 1–2, s. 302–309.
- Leder, A. (2014). *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Macdonald, Sh. (2009). *Difficult Heritage. Negotiating the Nazi Past in Nuremberg and Beyond*. Abingdon: Routledge.
- Nowak, T., Żerek-Kleszcz, H. (2006). *Dzieje wsi Żabice do 1821 r.*, [w:] M. Nartowicz-Kot (red.), *Konstantynów Łódzki. Dzieje miasta*. Łódź: PTH.
- Pollack, M., (2023). *Topografia pamięci*, przeł. K. Niedenthal. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Pomian, K. (2014). *Historia – dziś*, [w:] E. Domańska, R. Stobiecki, T. Wiślicz (red.), *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*. Kraków: Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, s. 19–36.
- Robert, M. (2023). *Rzeki, których nie ma*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Stiepanowa, M. (2020). *Pamięci pamięci*, przeł. A. Sowińska. Warszawa: Prószyński Media.
- Szady, B. (2020). *Wieczny początek. Warmia i Mazury*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Sznajderman, M. (2019). *Pusty las*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Tokarczuk, O. (1998). *Dom dzienny, dom nocny*. Wałbrzych: Wydawnictwo Ruta.

- Tokarczuk, O. (2020). *Czuły narrator*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Tunbridge, J., Ashworth, G. (1996). *Dissonant Heritage. The Management of the Past as a Resource in Conflict*. Chichester: Wiley.
- Workert, E. (2006). *Powstanie i rozwój Konstantynowa do 1869 r.*, [w:] M. Nartowicz-Kot (red.), *Konstantynów Łódzki. Dzieje miasta*. Łódź: PTH.

SKŁAD I ŁAMANIE

Munda – Maciej Torz

KOREKTA TECHNICZNA

Katarzyna Woźniak

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.11828.25.0.K

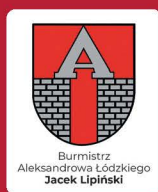
Ark. wyd. 6; ark. druk. 9,25

Dzięki zebranych opowieściom powstaje zapis procesu konstruowania tożsamości Krzywca po II wojnie światowej. Narracje składające się na książkę nie stanowią jednak zbioru podobnie brzmiących głosów opisujących podobne historie, co świadczy m.in. o wielowymiarowości kulturowego dziedzictwa Krzywca. W pamięci mieszkańców wciąż obecne są ślady spuścizny poniemieckiej, kresowej, ale także wielu innych historycznych i kulturowych wątków. Ukazane przez badaczy podejście, widoczne w projekcie i obecne w będącej jego rezultatem publikacji, uznaje prawo mieszkańców do współdecydowania o tym, co powinno zostać przedstawione jako ich dziedzictwo.

dr hab. Magdalena Krysińska-Kałużna, prof. UW

Prezentowana książka będzie trwałym dopełnieniem wszystkich uroczystości związanych z dwusetleciem założenia Krzywca. Dostojne jubileusze są czasem świętowania, ale też swoistym „rachunkiem sumienia”. Czy to przepracowanie przeszłości pozwoli współczesnym jego mieszkańcom na włączenie do swojego „kulturowego katechizmu” wspomnienia i dumy ze wspólnoty z olenderskimi protoplastami czy też z ich niemieckimi skrzętnymi kontynuatorami? Z lektury wszystkich tekstów wynika, że taka gotowość jest.

prof. dr hab. Jan Świąch



**WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
ŁÓDZKIEGO**

 wydawnictwo.uni.lodz.pl
 ksiegarnia@uni.lodz.pl
 (42) 665 58 63

ISBN 978-83-8331-848-6



9 788383 318486
KSIĄŻKA DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK